ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH



Łoś. Fot. Maurycy Potocki.

NR. 44. 3 LISTOPADA 1929 R.

ŚW. HUBERTOWI CZEŚĆ!

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 44 (548). *WARSZAWA, 3 listopada 1929 r.* *ROK XXII.*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

O NUMERY WYCZERPANE.

Administracja „Łowca Polskiego" prosi uprzejmie P. P. Prenumeratorów, którzy nie kompletują rocznika, o odesłanie nam z powrotem na nasz koszt: № 8; 28 i 29.

Prośbę wystosujemy w imieniu p. p. myśliwych kompletujących rocznik, którym numery te zaginęły, a administracja nie może ich uzupełnić z powodu wyczerpania.

Sumienie a strzał.

— Podobno Iks po każdym strzale, danym na polowaniu, ma później wyrzuty sumienia?

— A to poczciwe człowieczysko! I o cóż mu najwięcej chodzi: o sarny, zające, czy o ptaki?

— Nie, tylko zawsze trafia w leśniczych, albo kogoś z naganki.



DWIE NAJWIĘKSZE SENSACJE!

KABRIOLET
Transformable lic. Kellner

LIMUZYNA
6-cio osobowa

Oto zdumiewające zalety CHRYSLERA:

Szybkość — 120 klm. na godzinę. Zapierające oddech przyspieszenie. Od jazdy krokiem do najwyższej szybkości bez zmiany biegu. Silnik sześciocylindrowy. Wał korbowy w siedmiu łożyskach. Resory tuż przy kołach, końce resorów w gumowych uchwytach. Hamulce hydrauliczne w szczelnych bębnach o działaniu rozpierającem, działają miękko i energicznie. Bezpieczeństwo — oszałamiające tempo — komfort i wygoda tak w zimie jak i w lecie.

Najtańsze samochody w swej klasie

AUTO-KONCERN SP. Z O. O. WARSZAWA, UL. BELWEDERSKA Nr. 16
BIURO SPRZEDAŻY WIERZBOWA 8 TEL. 126-36

Idź, idź, daj gęsiom siana (odczep się).
I gąska nieraz na lodzie pośliźnie się.
Jak z gęsi woda, opadła z niego.
Lepsze nasze gęsi, niż cudze łabędzie.
Nie masz lepszej zwierzyny, jako nasza gąska: dobre pierze, dobry puch, nie gań mi i miąska.

W sprawie Książek i gazet myśliwskich.

Wobec słusznej uwagi, że wielu czytelników nie posiada już Nr. 18 i 20 „Łowca Polskiego" z r. b. powtarzamy spis książek tam zamieszczony i w związku z tem przedłużamy termin składania ofert do dnia 15 listopada.

Roczniki „Łowca Polskiego" od 1899 r. do 1911 włącznie i 1913 r. w oprawie, od 1924 r. (4 numerów brak) do 1929 nieoprawione. „Przegląd Myśliwski" 1925-26 brak numerów od czerwca, „Łowiec" lwowski 1928 r. „Gazeta leśna i myśliwska" 1912-13 (niekompletna). „Kalendarze Myśliwskie" 1893, 99, 1900, 1902, 03, 06 — 09, 11, 14 i 28.

Książki: „Ptaki Krajowe" Taczanowskiego, 2 tomy. „Z łowisk Wielkopolskich", ks. Niedbala, „Pieśń Puszczy", Korsaka. „Rok myśliwego", Korsaka. „Władcy skalnej doliny", „Władcy kniei", Szczepkowskiego. „Kazimierz Wodziński jako myśliwy", Rembowskiego. „Wspomnienia myśliwskie", Ejsmonda. „Poradnik dla myśliwych", Jana Szytlera z 1839 r., pisany na bibule. „Bażant łowny", Cronau. „Przewodnik myśliwca", prof. L. S. „Sztuka strzelania i polowania", Lancaster. „Pies zdrowy i chory", Hilfreicha. „Skorowidz leśny" Szczerbowskiego.

Nieoprawne: „Polowanie na potwory morskie", Mitchel Hedey. „Nad Nilem Niebieskim", Sztolcmana. „Bajki", Ejsmonda. „W puszczach i stepach", Czerniejewskiego. „Krajowe zwierzęta ssące", Zygmunt Fedorowicz. „W puszczy", Ejsmonda. „W polu i kniei", Machczyńskiego. „Hodowca a myśliwy", Ernest Hr. Sylwia Tarouca. „Obręby i parki zajęcze", Thünger. „Ornitologja łowiecka", Sztolcmana. „Zasady praktyczne urządzenia lasów", Koleczko. „Polowanie z wyżłem", Głodkiewicza. „Głuszec", Oreńskiego. „Układanie wyżłów", Oberlaendera. „Podręcznik dla dzierżawców polowań", Hegendorfa. „Krótki zarys owadoznawstwa", część IV, Szkodniki leśne. „Sortowanie drewna", Szwarc. „Tablice w miarze metrycznej", Koleczko. „Jak szacować lasy", Koleczko. „Cietrzew", Korsaka. „Nasze skrzydlate drapieżniki", Gürtlera. „Wilk" i „Głuszec", Świętorzeckiego. „W sercu kniei", Zaborowskiego, I tom. „Las Polski", miesięcznik, Zagórskiego, 6 tomów. „Łowiectwo", podręcznik dla szkół leśnych, Sztolcmana. „Przemysł tartaczny", Inż. Zerabeckiego i Kisiela. „Las", Walenty Koleczko. „Hodowla lasu", Sokołowskiego, opr. „Rośliny trujące i jadalne" Arctiwna Kohlmana. „Cięcie lasu" A. Szwarca. „Torf", Turczynowicza i „Szkice z Puszczy Białowieskiej", Kamieńskiego.

Czasopisma i książki powyższe są już w posiadaniu administracji. Możemy je przeto odstąpić więcej dającemu.

Uprasza się przytem o powtórzenie ofert dawniej złożonych z wymienieniem ceny ofiarowanej.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Ona nie z tych gęsi, co dziobem drzwi otwierają.
Płowe gęsi, zielone psy, pięć krów za grosz — rzeczy niepodobne.
Poleciała gęś za morze z nadzieją tęgą, a nazad powróciła gęgą.

Z PRZYSŁÓW MYŚLIWSKICH.

Dorobił się, jak dudek na kościele.
Zakochanemu i koza Djana.
Skacze, jak dzierlatka.
Dzięcioł, drzewo psując, i nos sobie psuje.
Dzięciołowi swój nos nie wadzi.
Lepszy dzięcioł w ręku, niż orzeł na sęku.

Z PRZYSŁÓW MYŚLIWSKICH.

Ze łbem na mur, z pięścią na dzika, z ciężkim grzechem na śmierć, a z lekką wolą na przekleństwo rodzica — to strach.

Kto idzie na niedźwiedzia, niech weźmie łóżko, a kto na dzika, mary.

Wybrał się na dzika, zastrzelił królika.

Na niedźwiedzia z doktorem, a na dzika z trąbą.

Na niedźwiedzia trzeba iść z felczerem, a na dzika z księdzem.

Dzięcioł w drzewo kuje, a nos sobie psuje.

Dziobie, jak dzięcioł po kleju.

Pstry, jak dzięcioł.

Lepszy szczygieł w ręku, niż dzięcioł na sęku.

Upstrzył się, jak dzięcioł.

Wygląda, jak dzięcioł na sośnie.

Siedzi, jak dzięcioł w dziupli.



„Psem tym jest rodzaj łajki syberyjskiej" Fot. Maurycy Potocki.
(Zob. str. 761, fot. 4).

POLOWANIE NA ŁOSIE W NORWEGJI.

Nieprzeparta chęć spotkania się raz jeszcze z rosochatym łosiem, oraz idąca w parze z żyłką myśliwską, namiętność podróży i zagłębiania się w coraz to nowe ostępy, skierowała me myśli ku dalekiej krainie północy. Zanotowawszy kilka nazwisk, ogłaszających się w „Wild und Hund" agentów, wydzierżawiających tereny na łosie w Norwegji, zwróciłem się do poselstwa norweskiego w Warszawie, by zasięgnąć o tych panach informacji. Poselstwo w sposób nad wyraz uprzejmy sprawą tą się zajęło, i na mocy udzielonych mi informacyj, teren wydzierżawiłem i w jesieni roku ubiegłego wyruszyłem na swoją pierwszą do Norwegji wyprawę.

Nie znając nikogo w tym kraju, nie rozumiejąc ani słowa mejscowego języka, i będąc zupełnie nieuświadomiony stosunków, sposobu tamtejszego polowania, rodzaju terenu, klimatu i wogóle wszystkiego, co może wyprawy dotyczyć, traktowałem swą podróż jako „głęboki wywiad", jak się to mówi na wojnie, i słabe co do wyników rokowałem sobie nadzieje.

Gdy się chce coś zdobyć, akcję należy rozpocząć, choćby pierwsze kroki w zupełnych ciemnościach stawiać należało, to też wyruszyłem zdecydowany nie zrażać się wszelkiemi niepowodzeniami, choćby jedynie na takie natrafić mi wypadło.

Ileż uroku mają dla myśliwego trudności i niepowodzenia, gdy się spogląda na nie wstecz, z wyżyn osiągniętego celu, a wiara, że swego się dopnie, staje się nawyknieniem, które przyświeca jasną pochodnią w szarzyźnie życia tych, co myśliwskiem rzemiosłem się trudnią.

Przewidywania moje się sprawdziły. Z łosiem się nie spotkałem, przemarzłem, przemokłem, z drętwemi od ciężkich marszów nogami, do Polski powróciłem. Gdy pierwszego dnia łowów wyruszyłem ze swym przewodnikem do przeznaczonej do zamieszkania chatki, położonej w środku rewiru, po pięciu godzinach uciążliwego marszu poprzez góry (Fot. 1) i bagna, zatrzymaliśmy się, by coś przekąsić i odpocząć. Rzetelnie zmęczony, gdyż nie byłem wówczas w świetnej formie treningu, spytałem, czy daleka droga jeszcze nas czeka. „Sądzę, że już blisko połowa za nami", łamaną angielszczyzną spokojnie odrzekł mój norweg, pykając zawzięcie z fajeczki. Ruszyliśmy naprzód, na górę, z góry, przez bagno grzązkie, znowu pod górę, jeziorko na szczycie płaskowzgórza, które grzązkimi brzegami należało obchodzić, znowu w dolinę — znowu obejście wąskiego, lecz bardzo długiego jeziora, znowu wspinanie się na stok stromy, z perspektywą równie stromego zejścia, które pracę poprzednią niweczy. Około 5 po poł., perspektywę beznadziejnie długiego marszu zasnuła gęsta, wilgotna mgła. Posuwaliśmy się przy pomocy busoli i mapy, noc się zbliżała i mój przewodnik oznajmił mi, że pierwszy raz w życiu tędy idzie. Zaczął padać deszcz. Ten tylko zrozumie, czem jest dalekie światełko (Fot. 2) w oknie chatynki, kto takie marsze odbywał.

Łosi w moim rewirze nie było, deszcz ulewny padał prawie bez przerwy podczas 5 dni, przez które świeżych tropów szukałem.

Jednak podróż moja była nad wyraz udatna. Poznałem kraj, klimat, rodzaje rewirów, stosunki i warunki polowania.

W Norwegji tereny łosiowe wynająć przeważnie można tylko na jeden rok, a właściwie na 10 dni, przez które raz do roku prawo pozwala na łosie polować. Każdy numer hypoteczny ma prawo odstrza-

łu 1 łosia i to prawo się kupuje. Większe tereny zarówno rządowe, jak i prywatne, składają się z kilku numerów hypotecznych. Tem się normuje odstrzał. Nie znaczy to jednak, że tyle łosi na danym terenie znaleźć można, ile ten ma numerów hypotecznych.

Małe tereny, składające się nawet z kilku numerów, mogą mieć łosie tylko przechodnie, i choćby ich właściciel sprzedał prawo odstrzału pięciu sztuk, można ich szukać tam napróżno. W przeciwieństwie, na rozległych terenach, na których roi się od byków, ma się prawo odstrzału tylko jednej sztuki, bo obszar ten figuruje jako jeden numer hypoteczny. Dobroć terenów zmienia się co roku, zależnie od pogody, prowadzonej eksploatacji lasów, obecności koczujących lapończyków i ich tysiącznych stad reniferów. Naturalnie, że są rewiry, które z powodu różnorodności terenu dają większą gwarancję udatnego polowania, niż inne; są okolice, gdzie łosi jest więcej. Tego wszystkiego nauczyłem się expedite.

W takich warunkach, jeżeli nie trzyma się stale ręki na pulsie sprawy, trzeba liczyć na tę odrobinę szczęścia.

Mnie szczęście sprzyjało. Trzeba czytelnikom wiedzieć, że polowanie na łosie w Norwegji rozpoczyna się dn. 15 września. Dnia 13-go tegoż miesiąca, gdy myśliwy się zbliża do pociągu w Trondjheim, by odbyć ostatni etap podróży na północ, do stolicy łosi, odrazu się daje zauważyć „swojski" nastrój we wszystkich wagonach. Z bagażowego dochodzi skowytanie piesków, każdy tragarz lub pasażer dźwiga jakiś „łowiecki" pakunek. Stroje na peronie przeważnie sportowe. Spokojne i strojne, na modłę angielską, lub też gdzie „loden" widnieje, piórko lub kitka przy kapeluszu dopełnia stroju niemieckiego myśliwca. Norwedzy przeważnie z angielska.

To też w przedziale moim, zajmowanym przez kilku miejscowych myśliwych, zawiązuje się niebawem osobna rozmowa w angielskim języku, i tu się zdecydowały losy moich dalszych, norweskich polowań, które tak sowitą za wszystkie poniesione trudy dały mi nagrodę.. Św. Hubert zrządził, że danem mi wówczas było poznać jednego z największych myśliwych, jakiego dziś do swych przyjaciół zaliczyć mogę. Wspólne zamiłowania, szczególnie gdy chodzi o umiłowanie kniei i włóczęgi, pięknej broni i szlachetnego psa, z łatwością się wyczuć i ujawnić dają. Po godzinnej rozmowie ustalone już było, że p. Franc. Rosenberg odwiedzi następnej zimy moje rewiry w Alpach, by ubić upragnioną kozicę, z którą dotychczas nie miał okazji się spotkać, choć Afryka nie jest mu obca, a Amerykę przeszedł z południa na północ.

Ja ze swej strony zostałem poinformowany, bym w przyszłości, bez jego wiedzy, do Norwegji się nie wybierał.

Rosenberg, podczas naszej nie dłużej niż rok trwającej znajomości, dwa razy już polował u mnie na kozice, i spędził kilka nocy przy ognisku w kureniu nad Prypecią, gdzie niemniej chciwie odemnie wchłaniał czar naszego Polesia. Cóż powiecie na to leniuchy, którzy z taką trudnością dajecie się namówić choć na parodniowy wyjazd do kniei!



„Poprzez góry i bagna" (Zob. str. 759 fot. 1). Fot. Maurycy Potocki.

Nadmienić muszę, że przyjaciel mój jest średnio zamożny, podróżuje sobie skromnie II klasą, na polowaniach u siebie sam sobie gotuje i nosi swój ekwipunek w plecaku na grzbiecie. Taki panowie wygodniccy!

To szczęśliwe w pociągu spotkanie, dzięki któremu nazywam swoją pierwszą podróż do Norwegji udatną, dało mi możność w tym roku polować na łosie, jako gość najmilszego z gospodarzy, w jednym z najlepszych rewirów norweskich.

Tegoroczna moja wyprawa pozwala mi opisać w „Łowcu P.", czem są łowy na łosie w Norwegji i jak się one odbywają. Polowanie to pozostawiło mi niezatarte wspomnienia (Fot. 3) i do jednego ze swoich najpiękniejszych zaliczyć je muszę.

Odbywa się ono jednak co do techniki nad wyraz prymitywnie, i raczej szczęściu i wytrzymałości myśliwego pomyślne wyniki przypisywać należy. Lecz w tej prymitywności łowów zawiera się cały ich urok, i to „coś" co serce myśliwego porywa. Łosia poprostu należy podejść, a właściwie „dojść", idąc nieraz dni parę za jego śladem. Za tym tropem prowadzi pies. Psem tym (Fot. 4) jest rodzaj łajki syberyjskiej, o nadzwyczajnym wietrze, i że tak powiem, prawie ludzkiej inteligencji. Psa się prowadzi na otoku, który jest przymocowany do szelek nieprzeszkadzających zwierzęciu w chodzie i oddychaniu.

W polowaniu tem należy być przygotowany do robienia długich i uciążliwych marszów, i powiem odrazu, że kto sił swych nie jest pewien, lepiej niech na łowy te nie wyrusza. Również nie radziłbym zapuszczać się do norweskiej kniei tym, co się boją przemoknięcia. Pot kroplisty z wewnątrz, a deszcze lerynę, lecz można się bez tej ostatniej obejść, a im mniej się myśliwy objuczy, tem lepiej. Długa burka pożądana.

Teren jest górzysty (Fot. 5). Góry miejscami dosyć strome, dochodzące do 600-metrowej wysokości; im wysokość większa, tem stromość ta się zmniejsza, również i zalesienie. Podnóża gór często świerkiem porośnięte, powoli się zamieniają w faliste płaskowzgórza, wolne od lasu, pokryte jedynie karłowatą brzozą, konającą poleską sosenką, moczarem, wrzosem i jeziorkami. Moczary nie są zbyt grząskie, przeważnie mchem lub trawą porośnięte. W dolinach większe jeziora.

Miejscami góry są skaliste, luźne głazy często się spotykają, a na wierzchołkach gładkie skały są jeno cienką warstwą mchu pokryte.

Sądzę, że jednak najlepiej poinformuję czytelnika, gdy poproszę, by choć w myśli wyruszył ze mną w pogoń za łosiem, czytając opis samego polowania.



„Dalekie światełko w oknie chatynki" (Zob. str. 759 fot. 2). Fot. Maurycy Potocki.

ulewne z wierzchu, suchej nitki nie zostawią na człowieku, a jeżeli do tego dodać zimne wiatry podczas przerw w marszu, i lekkość ubrania, gwoli tejże lekkości używanego, to przyznać muszę, że praca jest ciężka i trzeba być na nią odpowiednio pod względem fizycznym przygotowany.

Zawziętość myśliwską też należy posiadać niepoślednią, gdyż chwilami łatwo upaść na duchu.

Piszę to wszystko, by ktoś, kto zapłonie „ochotą", przeczytawszy opis mych spotkań z łosiami, i ruszy w me ślady, nie rościł do mnie pretensji, że w ciężkie go wepchnąłem opresje.

Co do ubrania, radziłbym: trzewiki górskie z gwoździami, pończochę grubą, sztylpy opadające z wierzchu ciasno na trzewik, paskiem z wierzchu umocowane, by nie dopuścić nalewania się do trzewika wody; spodnie wełniane, luźne w kolanie, grubą koszulę, lekką „wiatrówkę" na wełnianej podszewce.

W plecaku krótkie, nieprzemakalne „Burberry" lub kurtkę z „Loden'u", ewentualnie takąż lekką pe-

Gdyby ktoś chciał bliższych szczegółów, zawsze jestem gotów nimi służyć.

Otóż dn. 14 września wyruszyłem z fermy Solena, która była naszą główną bazą, do drugiej fermy, położonej nad rozległem jeziorem w głębi rewiru, gdzie miałem przez następne dni polować. Ferma Giltmarken, do której się udawałem, odległa była o 4 godziny marszu, poczem zakończenie podróży odbywało się łodzią. Jezioro Gilten (Fot. 6) ciągnące się 12 km., ułatwiało dojazd do różnych części rewiru.

Pewnego dnia zlustrowałem południową stronę jeziora, lecz świeżych tropów nie znalazłem. Równie niepomyślne wyniki poszukiwań dał północny brzeg, dnia następnego. Posuwając się ku wschodowi, ku wieczorowi wspięliśmy się na dosyć wysokie płaskowzgórze, gdzie pies nasz, „Jack", okazał pewne zainteresowanie się tropami klępy z cielakiem, koło której widoczne były większe ślady byka. Ślady prowadziły błotnistą doliną, która między dwiema stromemi górami zniżała się ku jezioru. Słabe zainte-



„Polowanie to pozostawiło mi niezatarte wspomnienia"
Od lewej: Przewodnik Rosenberga, niżej podpisany, Rosenberg, moi dwaj przewodnicy, mój strzelec Kuropatkin.
(Zob. str. 760 fot. 3). Fot. Maurycy Potocki.

resowanie psa dowodziło, że ślady są niezbyt świeże, a spóźniona pora skłaniała nas do zaprzestania dalszych poszukiwań, gdy nagle „Jack" górnym wiatrem, który oznacza bliskość zwierza, pociągnął nos na lewo pod górę. Gdyśmy u szczytu posuwali się nad prawie przepaścistym stokiem, jeden z moich przewodników zatrzymał nas kiwnięciem ręki, i zaczął się wpatrywać w gęsty las, ścielący się u stóp 150-metrowej skały, na której szczycie się znajdowaliśmy.

Niebawem spostrzegłem w luce między świerkami, przesunięcie się dużej, burej plamy. Z zapartym oddechem zacząłem lustrować przez lornetkę, każdą między gałęziami szczelinkę i wnet natrafiłem wzrokiem na spokojnie żerującą klępę, za którą posuwały się dwa łoszaki. Byk musiał być gdzieś w pobliżu, jednak las nam go zasłaniał. Ciche gwizdnięcie mego strzelca, Kuropatkina, który stał o parę kroków na prawo odemnie, spowodowało zmianę punktu obserwacyjnego i z nowego miejsca zauważyłem czwartą sztukę, przesłoniętą świerkami, przez które bielały łopaty. Byk posuwał się w lewo, i niebawem wyszedł na większą lukę, gdzie spokojnie się położył, zwrócony łbem ku nam. Patrzyłem nań prawie zupełnie z wierzchu, i liczyłem pasemka na łopacie. Na lewej miał pięć sztuk, piękne i długie, a i łopata szeroka! Dzieliła nas przestrzeń jakich 400 kroków i strzał był więcej niż niepewny, szczególnie, że miałem w ręku podwójny express bez lunety. Muszka zakrywała całego zwierza i choć mój norweg cicho, lecz namiętnie do strzału namawiał, a serce biło jak młotem, zdecydowałem zejść w dolinę i starać się łosia w lesie podejść. Cofnąłem się do miejsca, gdzie stok pozwalał się zeń zsunąć. Gdyśmy się znaleźli na odpowiednim poziomie, zostawiając człowieka z psem za sobą, z zapartym oddechem, krok za krokiem posuwałem się naprzód. Lecz, niestety, las był za gęsty. Przez krótki ułamek sekundy mignęło mi się w gąszczu bure cielsko byka, przez chwilę zabielała noga, gdy w gąszczu przystanął, jakie 60 kroków przedemną i wnet ucichł ciężki tupot i chrzęst łamanych gałęzi. W oddali trzasnęła raz jeszcze jakaś grubsza gałęź. Wieczór zapadał wracać należało do domu, lecz w oczach stał mi ciągle tak dawno niewidziany widok.

Nazajutrz o świcie, zerwawszy się z łóżek, ruszyliśmy ku północy, by przeciąć ślady spłoszonego łosia. Teren nasz tego dnia był raczej otwarty, będąc wysoko nad jeziorem położony. Natrafiwszy na stosunkowo świeży trop, posuwaliśmy się za nim z godzinę, lecz z różnych względów wnioskując, że mamy do czynienia z innym, niż wczoraj, łosiem, porzuciliśmy ślady, kierując się na północo - zachód. Po godzinie natrafiliśmy ponownie na trop, przypuszczalnie ten sam, co rano, lecz o wiele świeższy. Mając w bliskości kilka gór, których stoki były silnie zalesione, opuszczając trop, zaczęliśmy zataczać duży krąg dookoła. Gdy już prawie zamknęliśmy koło, a łoś pozostawał pośrodku, natknęliśmy się na pięknego byka, który spokojnie żerował na stromym stoku najbliższej góry, prawie u jej szczytu, odległego od nas o jakie pół kilometra. Zaczęliśmy podchód, lecz wiatr, który w górach kręci się na wszystkie strony, zepsuł nam nasze starania. Byka na miejscu, gdzie się znajdował, nie zastaliśmy, natomiast ślady pokazywały, że ruszył przed siebie rysią.

Zaczęła się żmudna pogoń. Po paru godzinach marszu, szanse nasze zaczęły się wyraźnie poprawiać, gdyż łoś zaczął iść powoli, przystając i żerując. Szliśmy moczarem, na prawo od którego wznosiła się dosyć stroma góra, dosyć gęsto zalesiona. Pies, który dotychczas spokojnie za tropem prowadził, zadarł do góry głowę i mocno pod górę pociągnął na otoku. Czułem, że w leśnej gęstwinie spotkanie z łosiem jest beznadziejne, lecz liczyłem na rozrzedzenie się lasu u szczytu. Nagle pies cichutko zaskomlił. „Obawiam się, że łoś ruszył spłoszony" odezwał się mój przewodnik; „Jack" zawsze o tem, skomleniem oznajmia". Rzeczywiście, góra niebawem zamieniła się w poleskie bagienko, a torf miejscami racicą wy-



„Teren jest górzysty". (Zob. str. 761 fot. 5).

Fot. Maurycy Potocki.

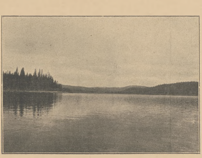
rwany, świadczył, że „Jack" się nie mylił. Lecz prócz byka, już teraz mieliśmy przed sobą łoszę z łoszukiem, która widocznie poprzednio na owej górze się znajdowała. Chwila rozczarowania, lecz rozgrzani pogonią, ruszamy niebawem dalej za tropem.

Narazie mamy zamiar jedynie się przekonać, w którą stronę łosie skierowały swe kroki, gdyż godzina była już późna, lecz ponieważ tropy prowadziły w kierunku Giltmarken, ruszyliśmy za zwierzem z całą zawziętością rozgorzałej na nowo pogoni.

Po wspięciu się na błotnisty i stromy, leśny stok pełen zawałów, mieliśmy przed sobą dość szeroką, trawą porosłą, lecz grząską dolinę, obramowaną z obydwóch stron wzgórzami, przerywanemi mniejszemi dolinami, które poprzecznie z naszą się łączyły. Łosie sunęły prosto przed siebie. Nagle jeden z norwegów przystanął i niemal jednocześnie z nim ujrzałem coś, czego nigdy w swem życiu zapomnieć nie zdołam. Przed nami, z prawej strony doliny, wznosiło się dosyć wysokie wzgórze, stromą i skalistą stroną ku nam zwrócone, z gładkim, owalnym wierzchołkiem. Na tle szarego, wieczornego nieba północy na owej kopule, gdzieniegdzie się odcinały małe, karłowate sosenki, a między niemi stały dwa łosie. Długo oczu nie mogłem oderwać od lornetki, przez którą, jak na dłoni, podziwiać mogłem te przepiękne, dziko niezgrabne, czar ostępu wokół siebie siejące, wspaniałe zwierzęta.

Byk, potężny dwunastak, o wielkiej, wklęsłej łopacie, rozchodzącej się w rosochate odnogi, co chwila odwracał głowę w naszą stronę, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo pogoni. Klępa stała spokojnie, odwrócona w przeciwną stronę. Po chwili potężny samiec przysunął się do swej samicy, otarł się o nią lubieżnie, raz jeszcze długo popatrzał w naszą stronę i rogami uderzył o stojącą opodal sosenke. Zaczynał zapadać długi półmrok północnego wieczoru. Nie było chwili do stracenia. Zostawiając swych towarzyszy zaszytych w świerkowy stok góry, przy boku doliny, zaszyłem się w poprzeczne wgłębienie, by zacząć podchód, starając się przedostać przez odkryte miejsce w węższem miejscu i piąć się na górę, na której stały łosie w miejscu mniej stromem na prawo.

Orjentacja w górach jest bardzo trudna, szczególniej o zmierzchu. Zmyliłem kierunek, posuwając się



„Jezioro Gilten". (Zob. str. 761 fot. 6).

Fot. Maurycy Potocki.

widocznie zadużo na prawo, i łosie minąłem, co czyniąc, dostałem się w zły wiatr, gdyż ludzie moi widzieli, jak po niejakim czasie zwierzęta ruszyły ku nim, i ominąwszy skalistą przepaść, zawróciły na lewo, poprzez leżącą przed nimi, szeroką dolinę, i zniknęły w świerkowej gąszczy, osnutej już mrokiem, którą drugi stok był również zarośnięty. Ja już łosi po wyruszeniu na podchód więcej nie widziałem. Stalowy półmrok zwolna zupełnie w noc się zamienił, gdy o godz. dziewiątej powróciliśmy na mocno obolałych nogach do naszej fermy. Jedynie na zachodzie bielało jeszcze pasemko seledynowego nieba.

Łosie nocą stoją przeważnie na miejscu, to też rankiem niedaleko od miejsca, gdzie wieczorem zniknęły nam z oczu, znaleźliśmy ślady nocnego ich postoju oraz świeży „zakop" mocno cuchnący, pierwszy, jaki podczas swoich wędrówek spotkałem. Świadczyło to, że ruja się rozpoczynała i że po 20 września możnaby w Norwegji łosie wabić. Świeżutkie, ranne ślady wyprowadziły nas na wysokie wzgórze, z którego roztaczał się przed nami rozległy widok. Choć niespełna godzinę posuwaliśmy się za tropem, należało okoliczne wzgórza i doliny lornetką zlustrować. Gdy nic wypatrzeć nie zdołałem, i mieliśmy ruszyć dalej, z doliny leżącej bezpośrednio pod nami, wyłoniła się klępa, za którą dreptał łoszak, wczoraj widocznie gdzieś przez byka odpędzony. Łosza odległa od nas o paręset kroków, szła truchtem i niebawem się skryła za następnem wzniesieniem. Widocznie nas zauważyła. Gorączkowo wypatrywałem byka, który niebawem nam się ukazał, lecz nie dając możliwości strzału, również znikł nam z oczu. Podsunęliśmy się na nieco wyższe wzniesienie, wznoszące się okolwiek na prawo, skąd długi czas mieliśmy możność obserwowania, na bardzo daleką metę, całe uchodzące od nas towarzystwo. Klępa sunęła szparko na przedzie, za nią pośpiesznie podążał cielak. Łoś leniwie zamykał pochód, przystając co chwila, by potem, ociężałym truchtem zbliżyć się do uchodzącej łoszy.

Przeszło godzinę szliśmy do miejsca, gdzie zniknęły nam z oczu, poczem idąc za tropem do g. 5 po poł., skonstatowaliśmy, że przeszły granicę naszego rewiru. Raz, na bardzo stromym, lesistym stoku, ślady wykazały, że łosie się zatrzymały, lecz widocznie naszem zbliżeniem spłoszone, ruszyły dalej.

Nazajutrz zwróciliśmy swe kroki do miejsc, gdzieśmy chodzili dnia pierwszego, gdzie wówczas tropów nieświeżych widzieliśmy sporo. Około godz. 9.30 byliśmy na tropie dobrego byka, a około godz. 11 skonstatowaliśmy, że wszedł do bardzo lesistego ostępu, nad brzegiem jeziora położonego. Mając doświadczenie, że w gęstym lesie łosia podejść niepodobna, zdecydowaliśmy zastosować inną taktykę. Ostęp, do którego prowadziły ślady, z dwóch stron dotykał jeziora, z trzeciej otaczało go odkryte zupełnie błoto, czwarty przedstawiał naturalny przesmyk, przez wązkie i dosyć długie bagienko, łączące duże błoto z jeziorem. Ten przesmyk zająłem w najodpowiedniejszem miejscu, na flanku od jeziora stawiając Kuropatkina, a norwedzy poszli z psem za tropem.



„Postanowiliśmy coś nie coś przekąsić". (Zob. str. 765 fot. 7). Fot. Maurycy Potocki.

Minęła przeto godzina w ciszy i oczekiwaniu. Nagle w gęstwinie na lewo przedemną, z drugiej strony błotnej haliny, położonej, z trzaskiem złamała się sucha gałąź. Przyznaję, że drgnąłem gwałtownie, chwytając za sztuciec, oparty o sosenkę przedemną. Jednocześnie rozchyliły się zwisające, świerkowe gałęzie i wysunął się z pod nich łeb rosochaty, a za nim ogromne cielsko olbrzymiego byka. Sunął truchtem przez otwartą przestrzeń, odległą o jakie 50 kroków odemnie. Na ciężko zwisającym łbie migała białymi końcami potężna łopata. Huknęły dwa strzały szybko po sobie, lecz byk nie dając znaku, znikł w gąszczu za mymi plecami. Gąszcz ten szybko przebiegłem, gdyż nie był szeroki, a za nim ciągnęło się rozległe bagno, rzadką i karłowatą sosną pokryte. Na niem posuwał się stępa ogromny byk, widocznie ranny. Nie wiem, czy od rany, czy z innych powodów, zamiast uchodzić, posuwał się z powrotem na ukos ku mnie. Przeszedł tak blisko, że widziałem farbę wysoko przed łopatką, znaczącą miejsce, gdzie jedna z moich

kul trafiła. Emocja widocznie zaćmiła mi umysł i oczy, strzeliłem dwa razy, lecz jak, zupełnie nie pamiętam. Chybiłem na czysto. Byk uchodził, przystając, a ja nabijając sztuciec i szukając drżącą ręką po kieszeniach kuli, biegłem za nim. Raz jeszcze strzeliłem, lecz na jakieś 200 kroków do zadu, i tak mocno zdyszany, że czułem, iż strzelam na wiwat. Niebawem zagrzązłem po uda, i to mnie doprowadziło do przytomności, gdyż bezsilny, grzęznąc coraz głębiej, patrzałem, jak łoś mi w gąszczu znikł z oczu. Wygramoliwszy się z trudem z moczaru, i doczekawszy się swych ludzi, ruszyliśmy za tropem. Byk mocno farbował, lecz szedł bez zatrzymania. Należało go zostawić czas jakiś w spokoju. Postanowiliśmy zaparzyć (Fot. 7) zwykle używaną w tym kraju, zamiast herbaty, kawę i coś niecoś przekąsić. Mało mi smakowało to śniadanie. Około 2-ej pp. ruszyliśmy za łosiem. Raz kładł się w wodzie, a po godzinie w gęstym świerkowym lesie zerwał się blisko przed nami, poczem już mało farbując, szedł przed siebie bez zatrzymania na nas z wyrzutem w swych mądrych oczach i ciągle już idąc za nami, oglądał się za siebie. Dziś „Jack" trop podjął ochoczo, i szparko ruszyliśmy za nim przeszło godzinę. Ślad prowadził w stronę sąsiedniego, mniejszego jeziora, ku któremu zaczęliśmy schodzić. Po jakimś czasie łoś raptownie zawrócił i zaczął piąć się pod dosyć stromą górę, świerkowym lasem pokrytą. Ten manewr wzbudził we mnie myśl, że ranny byk zaległ niedaleko, gdyż bądź co bądź przeszło 12 km. odsunął się od miejsca zranienia, i chciałem się właśnie podzielić tem przypuszczeniem z prowadzącym psa przedemną norwegiem, gdym zauważył, że ten wspiąwszy się na palce i wyciągnąwszy szyję, raptownym ruchem zerwał karabin z ramienia i wypalił. Jednym susem znalazłem się przy nim, w chwili, gdy olbrzymie cielsko łosia podniosło się z błyskawiczną szybkością z za świerka o 12 — 15 kroków nad nami i byk w susach ruszył z góry na dół, wprost na nas. Czekałem na dogodną chwilę i puściłem kulę od spodu w odsłoniętą pod



„Olbrzymi zwierz zwalił się nam prawie pod nogi".
(Zob. str. 765 fot. 8). Fot. Maurycy Potocki.

mania. Sytuacja była rozpaczliwa, do zmroku trwałem w zaciekłej pogoni. Siekący deszcz przemoczył mnie do cna, nogi zdrętwiały ze znużenia. Blisko dwie godziny wracaliśmy nocą jeziorem do domu, a mroźny i przenikliwy wiatr, na łódce dokonał reszty. Długo nie mogłem rozprostować zgrabiałych kości, nawet po powrocie do domu,a pierwsze słowa zdołałem wymówić po zrzuceniu mokrej odzieży i kilku haustach gorącej wody z whisky, lecz było to raczej bełkotanie, niż mowa.

Nazajutrz uzbroiłem swego norwega w miejscowy karabin wojskowy, gdyż zdecydowany byłem w gęstym lesie za tropem sam nie iść, zajmując przesmyki. Doprowadziliśmy psa do miejsca, gdzie wczoraj wieczorem z trudem od tropu go oderwaliśmy. Mądre stworzenie opierało się mocno czterema nogami, z głową zwróconą w stronę, gdzie poszedł łoś. Pan jego musiał użyć wszelkich sposobów, by go nakłonić do pójścia za sobą, wskazywać trzeba było ręką stronę przeciwną, prosić, namawiać; pies patrzał łbem pierś, i razem z mym strzałem olbrzymi zwierz zwalił się ciężko prawie nam pod nogi. (Fot. 8). Ogromny łeb zarył się w ziemię powyżej chrap o 5 kroków od lufy mego sztucera. Nie wiem, czy wszystko to razem trwało sekundę!

Tak padł mój pierwszy byk po 13 latach przerwy strzelany. Myśl mimowoli odbiegała od ojczystej,ukochanej kniei, gdym z głębokiem wzruszeniem patrzał na zwalonego u mych nóg, wspaniałego mieszkańca dzikich gór norweskich i poleskich moczarów. W długiem milczeniu hołd mu oddałem. Mój byk przy wspapewne zgrubienie przy odłamanem miejscu. Pierwsza moja kula trafiając w kark przed łopatką, poszła ku niałych łopatach, nosił 9 i 8 pasemek, z których jedno już dosyć dawno było złamane. Świadczyło o tem tyłowi nad stosem pacierzowym i wyjścia nie miała. Norweg przestrzelił z gładkiej, opancerzonej kuli szyję blisko ucha, nie naruszając żadnej arterji ni kości.

Następnego łosia zwaliłem dwa dni później, stosując metodę napędzenia na przesmyk. Deszcz wtedy kropił rzęsiście i w chwili, gdym posłyszał zbliżanie się byka, który szedł na mnie, opuszczając się ze stromej góry, miałem narzucony na ramiona płaszcz nieprzemakalny, pod którym kryłem sztuciec. Palce kurczowo wplątały się w guzik zapięty pod szyją, poczem zamarłem w bezruchu, gdyż łoś przed wyjściem na czyste przystanął przedemną. Wysunął mi się na 110 kroków i tym razem trafiony na wysoką komorę, kędy przechodzi kość pacierzowa, zwalił się w ogniu, jakby rażony piorunem.

Był to piękny, regularny ósmak o bardzo długich (Fot. 9) i grubych odnogach.

MAURYCY POTOCKI.

MYŚLISTWO PRZYSZŁOŚCI.

(Z Martinem Johnsonem w Afryce).

Więc przedewszystkiem lew, który pozwolił się razem ze mną i nieraz przezemnie fotografować, nie jest wypchany, mimo iż należy do trofeów wyprawy myśliwskiej Jana Pętkowskiego. Wprost przeciwnie, żyje wspaniały Simba (t. j. lew — w narzeczu Kisuaheli) i mieszka wraz z towarzyszką na Kujawach, gdzie miałem nieraz sposobność bliższą i serdeczną z nim zawrzeć znajomość.

Nie na tem jednak kończą się moje afrykańskie przygody, przygody z Simbą. Bo otóż „Simba" jest tytułem dzieła Martina Johnsona. Tą właśnie książką swoją wprowadził mnie Johnson w świat tak wspaniały, że o wielkich wrażeniach pragnę opowiedzieć tutaj, aby tylko zachęcić innych do uczynienia tej mało kosztownej i mało kłopotliwej, a tak bardzo wiele uczącej wyprawy.

Na czemże polega jej niezwykłość? Dlaczego w związku z nią tytuł niniejszych rozważań brzmi „Myślistwo przyszłości?". Oto poprostu — jako właściwy wnicsek, jako wyciągnięcie wszystkich konsekwencyj z dokonanej przez Johnsona rzeczy epokowej dla dziejów łowiectwa, stanowiącej dopełnienie i udoskonalenie tych planów i poszerzeń, ku jakim przeszło ćwierć wieku temu drogę pokazał Schillings.

Byleby tak, jak powinna, była punktem zwrotnym, zmieniającym, albo raczej poszerzającym samo pojęcie łowiectwa, byleby tylko drogami nowemi poczęło iść nowe pokolenie myśliwych!

A teraz po kolei. Czemże jest Simba?

Oto książka, której treścią są przeżycia dwojga amerykan w Afryce Wschodniej, historja przeszło trzyletnich polowań na grubą zwierzynę w niedostępnych i najwspanialszych jej ostępach. Nie byłoby w tem może nic tak dalece niezwykłego, gdyby nie fakt, że podstawowe wyposażenie naszych myśliwych składało się nie z broni, nie ze sztuców różnego kalibru i najnowszych systemów, ale — z aparatów filmowych i fotograficznych. Czytałem tę książkę, jako ten, który rozumie urok walącego się w ogniu, zwierza; który czuje i umie przeżywać wszystkie wzruszenia, składające się na pełny obraz łowu.

Otwarła przedemną nowe perspektywy, perspektywy, jakie rzec można, przeczuwało się nieraz, ale jakich nigdy niepodobna było uświadomić sobie w takiej potędze i pełni.

Johnson opowiada prosto. A opowiada przygody tak wstrząsające, tak pełne napięcia i wyrazu, że się jego książkę czyta z zapartym tchem, jak w onych młodych, najpiękniejszych latach czytało się przygody wysnute z fantazji Karola May'a, albo Juljusza Verne. Tylko, że tutaj — rzeczywistość. Mam wrażenie, że strzelec - myśliwy, chyba w tych latach, kiedy broń nie miała jeszcze dzisiejszych udoskonaleń, kiedy w wypadku niebezpiecznym właśnie zawodziła, przeżywał podobne emocje.

Towarzyszką wyprawy była mu żona. Gdy sam Johnson filmował, jej jednej powierzał broń. W razie niebezpieczeństwa, gdy zdarzało się, że nosorożec, albo słoń zaszarżował go przy aparacie, w ostatniej chwili Oza, bohaterska towarzyszka strzelała. A strzelała tak niechybnie, że Martin ani na chwilę nie przestawał naświetlać taśmy. Pozatem nie zabijali nigdy. Z aparatem filmowym, dzień po dniu spędzali bądź to na stanowisku, bądź podchodząc w okolicach Rajskiego Jeziora (Poradise-Lake, na płn. od szczytu Kenia, Afryka Wschodnia) chmary i wspaniałe pojedynki najgrubszego zwierza: bawołów, słoni, nosorożców, lwów, albo też gnu (żubrów pustynnych), antylop przeróżnych, żyraf, zebr i strusi. Nie polowali w naszem, dotychczasowem tego słowa znaczeniu, a przecież niema na całym świecie zdobyczy myśliwskiej, którąby się równać mogła ich trofeom. Lata, które spędzili w Afryce, wydzierając jej ostępom i uroczyskom największe tajemnice, ukryte blaski i piękno, nie pozostawiły zwykłego w takich razach śladu. Nie miały w sobie nic z tradycyjnej brutalności, z barbarzyństwem, jakiem człowiek, często mimowoli, znaczy wtargnięcie w dziewicze puszcze.

Nie będę dalej komentował, nie będę się starał poddawać ocenie, ani właściwego miejsca w historji kultury wyznaczał dziełu, dokonanemu przez Johnsona.

Nie wątpię, że z perspektywy czasu nabierze tego powszechnego znaczenia, jakie mu się słusznie należy.

A tutaj przytoczę fakty, które mówią same za siebie, mówią lepiej i trafiają głębiej do duszy. Zwłaszcza, że opis życia tych przeszło trzech lat nie jest obszerny, nie gubi się w drobiazgach, ale posiada zwartość, jest raczej skąpy, raczej skromny i właśnie tem silniej, tem realniej pozwala przyjrzeć się i ogarnąć napięcie i poznać rzeczywistość wspaniałych przygód. W ich prawdę nie wolno nie wierzyć. Prawdę tę zaświadczają w każdej książce obecne

zdjęcia, każdą książkę zdobiące trofea, przecudowne owoce największych, ale jakże plennych trudów.

Pozwólmy Martinowi Johnsowi mówić. Oświetli i podejdzie do samej sprawy łowiectwa z innej, niż dotąd strony, ileż słuszniejszej, ileż bardziej pięknej, niż to ujęcie, jakiego istota przez tysiące lat niemal żadnej nie uległa ewolucji.

— Słyszałem nieraz ludzi, którzy chełpili się z ubicia słonia. Nam było przykro, ile razy musieliśmy to uczynić. Radością naszą był udatny, choćby wśród niebezpieczeństw dokonany film.

A gdy wespół z przyjacielem, którym był rzeźbiarz, przyrodnik i zamiłowany fotograf zwierząt, Karol Akeley, odkryją ostoję lwów, gdzie królewskie zwierzęta zda się ludzi jeszcze nie widziały, bo pozwalają im podejść się, nie zdradzając lęku, ani nie zaczepiając, oto Johnson przytoczy prośbę, wiele dni potem umierającego w pustyni Akeley'a:

— Martinie! Idź ty do naszych lwów. Obserwuj je i fotografuj, aby je ludziom pokazać. Tak bardzo pragnę, żeby widzieli, jak niemyśliwskim czynem jest strzelać do lwów po to tylko, aby się tem móc szczycić.

Po przeczytaniu rozdziału o lwach Tanganjiki, po przyjrzeniu się choćby tylko niektórym ze wspaniałych fotografji i filmów zdjętych pośród lwów, wie się i czuje, że Akeley miał rację.

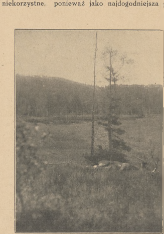
Jak bardzo niezwykłe było to zaufanie królewskich kotów Afryki, niech zaświadczy zdanie, określające normalne położenie operatora, podchodzącego groźną, grubą zwierzynę w afrykańskiej puszczy:

— Jej zachowanie wobec aparatu jest proste. Albo ucieka, albo atakuje. Ani jedno, ani drugie nie jest dla filmującego przyjemne.

Jeżeli mowa o trudzie, w jakim dokonywano dzieła, niemal porównać go nie można z wysiłkami, jakie konieczne są do ubicia, gdzie jedna korzystna sekunda, jedno mgnienie oka, w którem muszka sztucera znajdzie się na łbie albo komorze zwierza, decyduje o powodzeniu. Tu inaczej — potrzebny jest czas, potrzebna przestrzeń, i światło, którego kierunek nie może iść w parze z kierunkiem wiatru, tu każdy cień, każda mgiełka kurzu czy pary przeszkadza. Tu zdarza się dniami całymi mieć zwierza blisko, na łatwy strzał, a nie móc dotknąć nawet korbki aparatu. Ta odległość gra bez porównania większą rolę, niż w jakiemkolwiek innem polowaniu, mimo iż aparaty mają objektywy zaopatrzone w lunety, mimo iż operator posiada wszelkie, doskonałe pomoce optyczne.

Wystarczy przytoczyć fakt, że w ciągu połowy pierwszego roku nie udało się Johnsonowi ani jedno zdjęcie. Że dopiero opierając się na doświadczeniach wielu setek metrów zepsutego filmu, zdobył wprawę i uzyskał wyniki. Ileż było rozczarowań bolesnych i przykrych. Wiem coś o tem, bo sam w tym kierunku czyniłem usiłowania na terenie naszych łowisk. Puściłem niejedną okazję dobrego strzału, a dobrego zdjęcia dotąd właściwie nie mam. A ile razy — zdarzało się — miałem czasu dosyć na zrobienie zdjęcia, a potem na strzał, tyle też wypadków rezultatu po strzale jedynie mam do zapisania.

Zwierz walił się w ogniu; tak było m. in. ostatnio z kozłem, a na filmie pozostały mgły, zarysy cieni i inne podobnie niewyraźne zdarzenia. Jedne z najbardziej udatnych prób przytaczam, zaznaczając przy okazji, że możliwości fotografowania czy filmowania są u nas przedewszystkiem dlatego tak niekorzystne, ponieważ jako najdogodniejsza pora



„Zwalił się w ogniu"
(Zdjęcie, robione w stronę, skąd strzelałem, stojąc pod sosenkami, widniejącemi na 2-gim planie).
Fot. Maurycy Potocki.

(Zob. str. 766 fot. 9).

w rachubę wchodzą jedynie — rano i wieczór. A wiadomo, że najważniejszym warunkiem dobrego zdjęcia jest dobre światło. Kozła niniejszego mogłem fotografować dopiero późnym wieczorem.

Robiłem zdjęcia z budy w Obrze, czasowe, a niemal z wolnej ręki, na odległość mniejwięcej 30 kroków. Udało się jako tako jedno na piętnaście. I stąd właśnie zdaję sobie sprawę, że trzeba zupełnie niezwykłego zamiłowania, trzeba być rzeczywiście wielkim myśliwym, żeby się nie zniechęcić. Ci, którzy polowali z „kamerą", wiedzą, jak bardzo łatwo zrazić się na dobre. Johnsonowie, jako jedni, nieliczni z wielu — wytrwali. Niepodobna wyobrazić sobie chyba większego szczęścia, większej radości myśliwskiej, nad tę, jaką musieli odczuwać oni właśnie, gdy wywołując w atelier, urządzonem nad brzegami Rajskiego Jeziora, naświetlone w czasie całodziennych wypraw filmy, po raz wtóry jeszcze na negatywach oglądali wspaniałe przeżycia spotkań ze zwierzyną, gdy wreszcie gotowe już zdjęcia utrwalały ich czar, a nieraz grozę. Gatunek, wartość tego triumfu, na to się chyba każdy z pod znaku św. Huberta zgodzi, ileż jest wyższa, ileż posiada w sobie szlachetniejszego elementu, niżeli często bezmyślny i płytki triumf strzelca - łowcy, którego

sam fakt ubicia, sam fakt strzału, dumą i radością bezmierną napawa. Ten szlachetny triumf najpiękniejszą był nagrodą bohaterom Simby, że przebrnęli wielkie, niedoceniane nawet trudności, aby dotrzeć do jakże szczytnego celu.

Dziełem swem zadziwiają dziś niemal cały świat. Mało stosunkowo wie się o niem w Polsce. A przecież Simba powinna być jednem z najbliższych tłumaczeń na nasz język. Tyleśmy już w tej dziedzinie zaniedbali, że teraz przynajmniej czas, by wziąć się do odrabiania chociaż niektórych zaległości. A najważniejszą niechby była Simba. Uczy. Wyrabia, i — to nie będzie puste słowo: — uszlachetnia łowiecką namiętność. Bo sama jest jej pełnym i najlepszym wyrazem, posiada wszystkie jej cechy dobre, nie mówiąc już o tym czynniku, przeważnie dziś w myślistwie zatraconym, czynniku odwagi osobistej, jaki tam właśnie, przy aparacie w Afryce większą gra rolę i większe posiada znaczenie, niźli w zwykłej praktyce łowu, prowadzącej do ubicia za wszelką cenę. Strzelać przy dzisiejszej broni jest łatwo. Filmować zwierzynę będzie póty wielką i podziwu godną sztuką, póki człowiek, jak to się dziś przeważnie dzieje, nie zatraci cechy brutalności i gwałtu w zetknięciu z przyrodą, póki nie wniknie w te jej tajemnice, jakich dziś nietylko że znać nie może, ale nawet nie przeczuwa.

A polować tak, żeby nie niszczyć i nie zabijać, to niewątpliwie istota ukrytych w duszach prawdziwie myśliwskich pragnień i tęsknot, jakich wyraz najlepszy znaleźć można w tem odczuciu, że strzał nie jest najpiękniejszym czynnikiem łowu, że jest jedynie słuszną i logiczną — koniecznością. A wiadomo, że konieczność zawsze stwarza pewien przymus, że psuje niejedno wielkie wrażenie szczęścia.

Wypadłoby zaznaczyć, że polowanie z „kamerą", czy z aparatem filmowym, winno być sztuką samą dla siebie, nie żeby miało spełniać rolę pomocniczą. Aparat na polowaniu, a polowanie z aparatem to dwie bardzo różne rzeczy. Na marginesie Simby właśnie, dobrze jest skreślić tych kilka uwag, jakie nasunęła mi lektura Schillingsa, Johnsona, film „Pori" i t. d., a w końcu i własne, ubogie doświadczenia.

Już dr. Ludwik Heck, w przedmowie do wydanego w r. 1905 dzieła C. G. Schillingsa (Mit Blitzlicht u. Büchse) zaznacza, obok wielu innych wybitnych przyrodników i myśliwych, że materjał ilustracyjny tej książki ma nieocenione znaczenie dla nauki, zyskującej dzięki niemu dane trwalsze i bardziej wartościowe, niż wiele tomów uczonych opisów i obserwacyj. Niema w tem wiele przesady, choć wyposażenie wypraw Schillingsa (ok. r. 1900) rozporządzających pewno najlepszymi na owe czasy środkami techniczno - fotograficznymi, ani umywa się do dzisiejszych, gdy technika fotografji stoi o niebo wyżej, gdy dzięki przemysłowi kinematograficznemu osięgnąć można rezultaty, o jakich Schillings pewno ani marzył. Ze wszystkich zaś możliwych udoskonaleń korzystał przecież Johnson.

A przedewszystkiem jeśli o wartość fotografij chodzi, nawet porównywać trudno film ze zdjęciem pojedyńczem. Gdy pierwszy oddaje wszystkie szczegóły zachowania się zwierza, gdy pozwala obserwować poszczególne fazy jego życiowych zwyczai, gdy odzwierciadla najdokładniej cechy jego usposobienia, gdy jednem słowem, mówi o zwierzęciu więcej, niż najszczegółowiej ujęty opis, zdjęcie zwykłe chwyta jedną, nie zawsze szczególną pozycję, daje obraz ułamka czasu, często bywa niezrozumiałe bez zawiłych i nie zawsze prawdopodobnych komentarzy. Podczas gdy film był zasadniczym celem Johnsona, Schillings zadawalał się zwykłem zdjęciem, najciekawsze rezultaty osiągając z nocnych, „rakietowych". Aczkolwiek cenne i piękne, jak np. Johnsona lwica przy ścierwie zebry i inne przy wodopoju, a znów Schillingsa zdjęcia lwów napadających przywiązanego osła, i t. p., jeżeli chodzi o poznawczą wartość z punktu widzenia przyrodniczego, a ten punkt obok wartości estetycznych tego rodzaju łowów byłby najważniejszy, mam wrażenie, nie należałoby jej przeceniać, biorąc pod uwagę wszystkie momenty zaniepokojenia bliskością urządzeń rakietowych, które się niewątpliwie wrażliwym zmy-



Autor „Myślistwa przyszłości" z Simbą.

słom zwierza narzucają, a dalej chwilę, w której zdjęcia się dokonywa, a która światłem zaskoczywszy, przestrach wzbudza i często zupełnie nienaturalny daje obraz. Nie chciałbym odmawiać znaczenia nocnym zdjęciom, jednakże bezapelacyjnie wyżej postawić wypadnie film, chociaż warunki, w jakich się dokonywać musi, nie zawsze są najlepsze i znacznie trudniej jest uchwycić zdarzenie np. swobodnego łowu, mające tyle ważnego znaczenia dla poznania życia zwierząt, nie mówiąc już o wspaniałem pięknie uzyskanego tą drogą obrazu. Tem też cenniejsze jego osiągnięcie. Nietylko słabsze technicznie fotografje stawiają Schillingsa niżej, jeśli się dzieło jego z dziełem Johnsona porówna, ale przedewszystkiem rodzaj, powiedziałbym duch jego myślistwa. Więcej tu strzałów, niż zdjęć. Bije np. jednego po drugim trzy lwy z wyraźną pasją, a fotografuje jakby przypadkiem, jakby w braku innych emocyj.

U Johnsona film jest celem sam dla siebie, któremu poświęca i podporządkowuje się wszystko. Ku końcowi chciałbym podkreślić jedną rzecz szczególną. Sławne dzieło Schillingsa naśladowców znalazło niewielu, nieomal żadnych. Jak dawniej, przez dwadzieścia lat, nie licząc wojny, postęp w technice i systemach łowu ograniczył się do zwiększania szybkości początkowej pocisku, do wzmocnienia siły szkieł w lunecie, do osiągnięcia wysokiej precyzji strzału, niezawodnego w skutkach. Istota pozostała ta sama — ubijać! Czyżby, zastanowić się można, rezultaty Schillingsa były niedostatecznie przekonywujące? Z punktu widzenia dzisiejszej sztuki fotografowania, zdjęcia jego nie są świetne, to prawda. Przyznać jednak trzeba, że na owe czasy musiały wywrzeć wielkie wrażenie, skoro do dziś dnia wiele z nich wzbudzić umie szczere zainteresowanie.

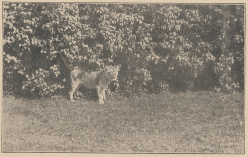
Jest rzeczą również znamienną, że dr. Artur Berger, niemiecki historyk łowiectwa, podróżnik, sam w czasie wypraw niejednokrotnie z powodzeniem posługujący się aparatem fotograficznym, w swem pomnikowem, ostatnio wydanem dziele „Die Jagd aller Voelker im Wandel der Zeit" ani słowem nie wspomina o znaczeniu i działalności rodaka, Schillingsa, jako pierwszego pioniera nowej sztuki myśliwskiej; że w tem samem dziele nie wyraża żadnych przypuszczeń, nie stawia żadnych horoskopów rozwojowi dróg łowiectwa.

A drogę tę wyznaczają już, nieliczne wprawdzie nazwiska i pozycje wydawnicze, ale coraz częstsze, drobne oznaki zainteresowania i przejmowania wytycznych w tym kierunku, jakie zostawił Schillings, on pierwszy, a jakich uwieńczeniem stało się dzieło Johnsona. Oznaki te spotkać można w pismach zagranicznych, niekoniecznie fachowych, zwłaszcza zaś przy sposobności omówień związanych z Simba.

Drobny przykład niech zilustruje znaczenie i wartość nowej drogi. Przy okazji zjazdu Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra w Poznaniu wyświetlano fragmenty niemieckiego filmu wojennego z Białowieży. Mieliśmy, uczestnicy tego zjazdu, wyjątkową sposobność ujrzenia mnogich chmar żubrów na tle śnieżystej Puszczy Białowieskiej, w której dziś już niema ani echa, ani wspomnienia po dawnem bogactwie. Te kilka metrów taśmy, wskrzeszającej przed naszemi oczami wspaniałość minionych dni, dla myśliwskiego serca cenniejsze są — o tem nie wątpię — niźli najliczniejsze trofea, niż najpiękniejsze grupy zbiorów martwych i coraz bledsze stanowiących wspomnienie choćby najbardziej potężnych wrażeń.

Razem z kurzem, który lby wypchane i poroża przysypie z czasem, zgubią się i te wrażenia w mgle niepamięci, zatracą się w wielu innych, aby nie wrócić już nigdy, aby zapomnieć się bezpowrotnie.

I budzi się w sercu człowieka żal, że się tak dzieje. Bo ostatecznie nic już nie powiedzą ani o pięknie kniei ani o zorzach wstającego we mgłach świtu, ani o wszystkiem, co się na rozkosz przeżyć łowieckich składa, dawne trofea. Bo ostatecznie w życiu jednego zaledwie człowieka znaczenie będzie miał wogóle ten dziennik myśliwski, w którym niechby nawet zapisane było: 5 lwów z rodziny, która miała



Lew w parku w Kożuszkowie-Woli.
(Wyprężony ogon zdradza zaniepokojenie i bliską chęć skoku).

7 członków, jednego wspaniałego, starego grzywacza *), 6 słoni, w tem dublet, 1 nosorożec, 2 hippopotamy itd.

Wystarczy się przyjrzeć wartości tego dziennika myśliwskiego przez pryzmat książki Johnsona, aby zrozumieć. Aby już nawet nie dyskutować, nie bronić się, ale żeby odczuć istotę i prawdę jego stanowiska i wielkość jego łowieckiego czynu, wielkość, jaka dopiero w porównaniu z każdem innem myślistwem nabierze wyrazu, narzuci się pięknem nieodpartem, jedynie słuszna, jedynie sprawiedliwa, jedynie godna naprawdę człowieka!

Praktyczna korzyść, zwykła stanowić o wartości takiego, czy innego działania, tutaj wartość myślistwa pojętego inaczej niż dotąd, zda się pogłębiać. Daje ono bowiem, jak już wspomnieliśmy, bezcenny materjał dla nauki, jest niewyczerpanem źródłem trwałego piękna dla tych nawet, którzy nigdy nie mieli szczęścia zetknąć się z przyrodą bezpośrednio.

Dołączone do artykułu niniejszego zdjęcia, niektóre z „Simby" Johnsona, niektóre znowu z filmu Ufy również w Afryce wykonanego, z filmu „Pori", który opowiada przeżycia kolonizatorów dziczy, gdzie niejeden naszym wywodom bliski moment znaleźć łatwo, niechby były wymownym dowodem na przytoczone wyżej twierdzenia.

Jedna jeszcze charakterystyczna rzecz: oto nie straciła do dnia dzisiejszego na aktualności cytata z przedmowy dr. Ludwika Hecka, z przedmowy do dzieła Schillingsa: „Posiadamy dzięki Schillingsowi lepsze obrazy, świetniejsze dokumenty przyrodnicze wielu afrykańskich zwierząt, niźli naszych, najbliższych, krajowych".

Po Simbie Johnsona możemy to samo powiedzieć. Wszakże niema dotąd ani filmu, ani takiego zespołu zdjęć, który dałby pojęcie o życiu naszej zwierzyny, któryby ją pokazał, piękną na tle tak dobrze znanych, tak bardzo drogich krajobrazów. Oto jest pole działania dla myśliwych. Nie o zmianę pojęć, nie o przewrót chodzi, nie o rzucenie strzelby, aby jeździć na podjazdy, czy też podchodzić z aparatem... Na początek wystarczy tylko odrobina cierpliwości, odrobina rezygnacji z dobrych okazyj strzałów, na korzyść fotografji. Póki nie wyrobi się zrozumienie, nie znajdzie odczucie, stawiające zdjęcie wyżej i czyniące je bardziej drogiem, niż najlepszy strzał, nie należy się wcale przymuszać. Zgóry wiadomo, że tylko dusze prawdziwie i szczerze myśliwskie przemóc potrafią niepowodzenia i znaleźć szlachetną radość w tym trudnym i często niewdzięcznym sposobie łowu. Za to wszelkie imprezy łowieckie, zwłaszcza zaś wystawy winny bezwzględnie na najwyższem miejscu stawiać fotografję, a zwłaszcza film, ceniąc go wyżej, niż najwspanialsze trofeum pochodzące z ubicia!

Tak się należy. Tak trzeba myśleć i tak działać, aby nareszcie choć o krok postąpić i sięgnąć po zadawne, przedawnione pojęcia. O zupełnem wyeliminowaniu strzału przez film i tak mowy być nie może. Tem się nie wolno łudzić. Chodzi tylko o supremację trofeów nowej, wyższej praktyki łowu, nad zwykłą, pospolitą. Będzie to wielkie zwycięstwo, jeśli się przyjmie, jeśli rozpowszechni. Prędzej czy później, przecież wreszcie nastąpić musi. Chodzi nam o to, aby jaknajprędzej!



Kozioł na żerowisku, fotografowany z budy w Obrze po zachodzie słońca.

Powtórzmy sobie raz jeszcze w pamięci przeżycia Simby, jaka na podobieństwo nieomal „Księgi Dżungli" wprowadza w świat dzikiej i wspaniałej Afryki, z tą tylko różnicą, że się tu człowiekowi przypomina nieustannie ich prawda, ich rzeczywistość, dzięki tak cudownym trofeom, że piękniejszych nie widziałem i pewno już nie zobaczę.

I powiedzmy, że czas wreszcie, że trzeba może właśnie u nas znaleźć sposobność, i rzuciwszy tę inicjatywę, dokonać rzeczy wielkiej, dając filmy pod kierunkiem myśliwych, albo i przez nich samych wykonane, których treścią byłoby życie zwierzyny. Znajdzie się z pewnością grono zapaleńców, którzy

*) Tu nie o gołębiu mowa, ale również o lwie.

pracę swoją i czas i umiejętności ofiarują *). Znajdą się i tacy, którzy kapitał dadzą. Łowiska całej Polski, w to wierzę, stawią ich właściciele-myśliwi do dyspozycji tego rodzaju polowaniom.

I pójdzie przykład i rozniesie się ich echo szeroko. I znajdzie się więcej łowców, którym nowe drogi będą odpowiadały, których pociągną.

Od afrykańskich puszcz powiał ożywczy, błogosławiony prąd. Niechaj za sobą porwie jaknajwięcej łowieckich serc. Niechaj zapali młodzież, która zamiast z flobertem, albo dubeltówką uganiać po kniejach, wiele szkody wyrządzając w świecie zwierzęcym, na tych samych wędrówkach i wyprawach mogłaby niejedno zdobyć wielkie i trwałe trofeum filmowe. Mniej będzie huku strzałów w ciszy leśnych ostępów, na przestrzeniach pól i łąk i wód, a większa radość i więcej szczęścia w duszach tych, którzy przygody łowu umiłowali nadewszystko, bo się niemi będą mogli sycić pełniej i bogaciej i piękniej, i, kto wie, pewno szlachetniej, niż dotąd.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.

*) Bynajmniej nie bezinteresownie. Dobry film, a zwłaszcza pociągający nowością jego temat jest tem, za co nieprzeliczone tłumy na całym świecie — płacą!



Potężny słoń-pojedynek w chwili, gdy zauważył filmujących ludzi. Chwila pełna napięcia: — cofnie się, czy będzie szarżował?
(Fragment jednej z wielu podobnych przygód M. Johnsona).

ŚW. HUBERT A POLOWANIA.

W wydrukowanym na czele numeru 42-go „Łowca Polskiego" artykule p. t. „Ochrona zwierząt a łowiectwo" powiedziano o św. Hubercie, że jego żywot wskazuje, iż „został dopiero nawrócony, gdy przebrała się miarka jego nieprawości w niszczeniu stworzenia Bożego".

Poprzednio paru innych autorów również w tym duchu pisało w „Łowcu Polskim", wywierając wrażenie, że samo polowanie było poczytywane św. Hubertowi za coś gorszącego, niewłaściwego.

W artykułach tych nie przytoczono nigdzie źródła autorytatywnego tej wersji z legendy o św. Hubercie, wersji uchybiającej niejako samej istocie polowania.

Naprawdę bowiem uważać należy, że to ujemne pojęcie zostało sugestyjnie narzucone przez koła specjalnie opiekujące się zwierzętami i nazwane ich przyjaciółmi.

Św. Hubert bynajmniej nie został „nawrócony" jako polujący, lecz jako wogóle poprzedni niecnota. Świadczą o tem źródłowe prace przytoczone w studjum niżej podpisanego, wydrukowanem w 8 N-rach „Łowca Polskiego" 1907 roku p. t. „Święty Hubert".

Powtórzono tam między innemi za tak wybitnym autorytetem, jakim jest „Encyklopedja Kościelna", wydana przez ks. Michała Nowodworskiego w roku 1875-ym, — życiorys św. Huberta, niezawierający ani słowa potępiającego polowanie jako takie. Można jedynie domyśleć się, że niewłaściwością było polowanie w Wielki Piątek. Odpowiedni bowiem okres w „Encyklopedji Kościelnej" brzmi:

„Hubert, wielki miłośnik myślistwa, polując raz w Wielki Piątek w lesie Ardeńskim, miał ujrzeć pomiędzy rogami jelenia krucyfiks opromieniony światłem; widzenie to miało być powodem jego nawrócenia i wstąpienia do stanu duchownego. Hubert jest patronem myśliwych i przeciwko ukąszeniu psów wściekłych".

Podobnież w dziele Detzera p. t. „Ikonografja chrześciańska" opis żywota św. Huberta nie potępia polowania. Zarzuca się tylko św. Hubertowi, że przed na-

wróceniem „prowadził życie próżniacze, uganiając się za rozkoszami", i że „w Wielki Piątek, podczas kiedy inni chrześcijanie znajdowali się w kościele, on oddawał się namiętności myśliwskiej".

Pośród słów głosu z Nieba, który, podług legendy, przemówił do św. Huberta w czasie wizji jelenia z krzyżem, niema również słów, wymierzonych przeciw polowaniu.

W encyklopedji ogólnej biografja św. Huberta zaznacza również jedynie, że po „przestrodze Nieba, św. Hubert wyrzekł się życia światowego". Inne źródło uzupełnia to szczegółem, że był 7 lat pustelnikiem, nie łącząc tego ze sprawą rzekomego zaniechania polowań.

Podobnież Mikołaj Reumann (1845 r.) w historji starożytnego łowiectwa, pisząc następnie o św. Hubercie, nie przytacza nic negannego pod adresem polowania.

Wreszcie już sam fakt, że Kościół rzymski ustanowił św. Huberta jako patrona myśliwych, o czem zanotowano w powyższych źródłach, jest wymownym dowodem, iż polowanie nie koliduje z nawróceniem św. Huberta i wobec tego, upada wersja, niewiedzieć przez kogo przyczepiona do legendy, a uchybiająca myślistwu.

———

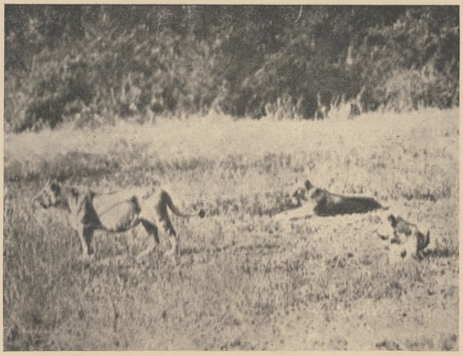
Gdy już mowa o świętych i legendach, przytaczamy dwie oryginalne legendy, zawarte w pracy ks. Nikodema Cieszyńskiego p. t. „Św. Franciszek — miłośnik przyrody", a odnoszące się do zająca, sokoła i wilka:

„Kiedy św. Franciszkowi przyniesiono schwytanego w sidła zajączka, kazał go wypuścić na wolność. Zajączek jednak nie uciekał, tylko postępował za swoim oswobodzicielem, jak wierny pies. Podobnie przylgnął doń i mały królik, kiedy święty odprawiał post na wyspie jeziora trazyneńskiego. Wszędzie mu towarzyszył i oddalił się tylko wtedy, gdy pan jego dał mu błogosławieństwo.

Lecz co najdziwniejsze, nawet drapieżne zwierzęta okazywały przyjaźń wielkiemu miłośnikowi przyrody. Na górze Alwernji zawiązała się dziwna przyjaźń między Franciszkiem a koczującym tam sokołem. Drapieżnik tak pokochał świętego, że stał się mu prawie służącym. Otóż w nocy budził on zakonnika właśnie w tych godzinach, w których on zwykł był wstawać na modlitwy. A gdy święty czuł się niezdrów, ptak zjawiał się dopiero nad ranem i wtedy głos jego z natury szorstki, stawał się niemal łagodnym i czułym.

Opowiadanie „Fioretti'ch" o wilku z Agobio jest raczej symboliczne. Otóż wilk ten, osławiony ze swojej drapieżności i dzikości, straszny był nietylko dla bydła, ale i ludzi. Więc trwoga panowała w mieście. Wtedy Franciszek, chcąc miasto oswobodzić od tej plagi, przeżegnawszy się krzyżem świętym, wybrał się bezbronny na spotkanie zwierza. A kiedy ten z wywieszonym jęzorem, krwi żądny, wybiegł mu naprzeciw, nie uląkł się go zakonnik, lecz zawołał głośno: „Chodź tu, bracie - wilku, rozkazuję ci w imię Chrystusa, żebyś mnie, ani komukolwiek żadnej krzywdy nie wyrządził". Wilk przystanął i osłupiał. Tedy Franciszek powiedział mu rzetelne kazanie, nie wahając się go nazwać złodziejem i mordercą najgorszym. I o dziwo! Wilk przełknął te twarde słowa, wziął je sobie do serca, łapą, złożoną na ręce świętego, dał poręczenie i poszedł, jak pies posłuszny, za nim do pobliskiego Agobio. Tutaj przed wszystkimi mieszkańcami, którzy w zdumieniu patrzeli na to niezwykłe widowisko, potwierdził znowu łapą swoje obietnice. Poprawił się zupełnie i odtąd karmiony przez zadowolonych mieszczuchów, żył tu jeszcze dwa lata".

J. O.



Jedno ze zdjęć, których zdobycie opisane zostało przez Johnsona w rozdziale „Lwy Tanganjiki". Na reprodukcji nie znalazło dość silnego wyrazu; mówi o wspaniałem pięknie wrażeń, jakich doznawać musiał operator, polujący w samej ostoi królewskich zwierząt.



Gnu (żubr pustynny) w ucieczce.
Obraz filmu „Pori", wytwórni „Ufa", dokonany w Afryce Wschodniej.

SAMOCHODEM BUICK W GŁĄB CZARNEGO LĄDU.

Przedstawiciel sprzedaży General Motors Export Company, p. M. G. Sawyer w towarzystwie p. N. C. Tuxbury i p. C. C. Russel odbył ciekawą podróż po zachodniem wybrzeżu Afryki, w celu zwiedzenia wszystkich nadbrzeżnych okolic, ze specjalnem uwzględnieniem większych miast i portów. Wyruszając w tę drogę, podróżnicy mieli zamiar dokonać jej na statku komunikacji przybrzeżnej. Dowiedziawszy się jednak w Dakar, w Senegalu, gdzie zatrzymali się dni kilka, aby ułożyć plan wycieczki, — że najbliższy statek w kierunku południowym odpłynie dopiero za kilkanaście dni, zmienili dotychczasowe projekty i postanowili odbyć całą drogę samochodem. Do tego celu postanowiono użyć wozu marki Buick, jako najszybszego i najwytrzymalszego. Po dokonaniu niezbędnych zakupów, jak pościel, konserwy i t. p. oraz po przyjęciu młodego kuchcika-murzyna, wyprawa ruszyła w drogę. Dla mieszkańców Dakaru nielada sensacją był widok ekspedycji, wyruszającej na dobrze wyładowanym Buicku, drogą lądową w głąb kraju.

Po przejechaniu kilku kilometrów, podróżnicy znaleźli się wśród okolic zamieszkanych przez dziką ludność Senegalu, której jedynem zatrudnieniem jest uprawa ziemnych orzeszków, których sprzedaż stanowi cały dochód tej ludności. Jadąc przez Thies, Mount Bombey i Diourbel, wszędzie spotykali się z tym narodowym przemysłem ludności senegalskiej. Cała ludność, którą spotykali po drodze, bez różnicy płci i wieku, uginała się pod ciężarem worków wyładowanych orzechami, zdążając z tym towarem do miast portowych. Zamożniejsi używają do celów transportowych wielbłądów, a Towarzystwa Eksportowe nawet samochodów, których długi szereg minięto po drodze do Fatick.

Ponieważ była to właśnie pora zbiorów, przejeżdżali więc wzdłuż dróg, obok wysokich pagórków usypanych z orzechów, które nagromadzono tam w oczekiwaniu dalszej wysyłki.

Z Fatick droga prowadziła do rzeki Siene, po której ciągnęły sznury małych łódek naładowanych orzechami, kierując się w stronę oceanu do najbliższych miast portowych. Słowem, gdzie tylko zatrzymało się oko podróżników, wszędzie widziało stosy małych, oleistych orzeszków. Ten monotonny widok skłonił wyprawę do przebycia terytorjów senegalskich w tak szybkiem tempie, na jakie tylko pozwalały drogi. Senegal posiada około 50.000 czarnych i 400 białych mieszkańców. Na tem terytorjum znajduje się obecnie 225 samochodów ciężarowych i 25 osobowych, co jest na tamtejsze warunki ilością stosunkowo dużą.

Po czterech dniach podróży wyprawa przekroczyła granicę francuskiego Sudanu. Nocleg spędzono w wiosce Koussanar, liczącej 520 mieszkańców, gdzie podróżnicy nasi byli niezmiernie gościnnie przyjmowani przez jedynych dwóch białych jej mieszkańców. Chociaż czarni mieszkańcy Koussanaru należą do

ludności stojącej na najprymitywniejszym stopniu rozwoju, posiadają jednak wysoko rozwinięte poczucie gościnności. Chcąc zabawić swoich białych gości, pokazali im tańczącą, tresowaną małpkę, która wyprawiała tak ucieszne skoki, że patrzący zanosili się od śmiechu, twierdząc, że niejeden mistrz cherlestona nie potrafiłby jej dorównać.

Okolice francuskiego Sudanu posiadają bardziej pierwotne stosunki, niż Senegal. Jedyną siłę pociągową stanowią tu zwierzęta, jak: wielbłądy, woły i byki. Okolica przedstawia monotonną płaszczyznę, podszytą niskimi krzewami i rzadko rosnącymi baobami; obfituje za to w zwierzynę. Podróżnicy nasi, nie mając nic lepszego do roboty, udali się na polowanie. Już w krótkim przeciągu czasu łupem ich stały się: 2 antylopy, dzik i kilkanaście sztuk dzikiego ptactwa. Dopiero spotkanie z jeżem, którego postanowiono ująć żywcem, przerwało dalsze łowy. Wieczór spędzono przy ognisku, gawędząc do późna w noc.

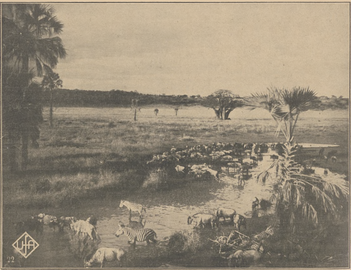
Ze świtem ruszono w drogę przez Tambacounde do Rio d'Or, gdzie podczas śniadania podróżnicy nasi mieli możność przyjrzenia się kąpieli tubylców, którzy jednocześnie prali swoje ubrania. Ludność miejscowa zachowuje sporo lokalnych zwyczajów, do których należy, między innymi, bicie pasterzy kóz, w celu zmuszenia ich do przepłynięcia rzeki wraz ze swemi stadami. Sprzątaniem naczyń po śniadaniu zajęły się gorliwie małe murzyniątka, które w nagrodę za to rozchwytały między siebie puste blaszanki od konserw oraz butelki.

Z Rio d'Or wyprawa dotarła do Ambibedi nad rzeką Senegal, która słynie z warsztatów tkackich do wyrobu miejscowych materjałów. W okolicach tego miasta znajdują się wielkie plantacje bawełny i rośliny „sisel".

Z Ambibedi wyprawa dotarła do Kayes nad rzeką Sanon w Sudanie, stosunkowo dużego miasta, gdyż liczy ono 10.000 mieszkańców, w czem 25 rodzin białych kolonistów. Miasto to słynie z tego, że pod niem ciągną się wielkie piwnice i kanały zabezpieczające od zalewów, które często się zdarzają podczas pory deszczowej.

W ciągu dnia podróżnicy nasi mieli zamiar dotrzeć jeszcze do miasta Bamako, odległego o 532 klm., chcąc tem samem przebyć największy etap dzienny. Jak się okazało, nie było to łatwe zadanie, gdyż droga prowadziła przez górzyste okolice o spadzistych stokach, wśród których musieli ostrożnie wyszukiwać drogę w ciągu paru godzin. Po drodze zatrzymali się w starożytnem mieście, Medina, zamieszkanem przez plemię mahometan, zwane Drambera. W Medinie zwiedzili podróżnicy ruiny posiadające dużą wartość architektoniczną.

Po uciążliwej drodze dotarli do Bafoulabe, gdzie mieści się placówka rządu francuskiego, przy pomocy



Przy wodopoju. Z filmu „Pori".

której uzyskali łodzie do przewiezienia Buicka przez rzekę. Na obiad przybyli do Tankoto, zamieszkanego przez plemiona maurytańskie. Zabudowania miejskie są wznoszone z błota i kryte zwykłą strzechą. Jednak dla podróżników spalonych przez promienie afrykańskiego słońca, budynki lokalne wydały się rozkosznymi pałacami, gdzie można było znaleźć pożądany przez wszystkich cień. Przedmiotem ogólnego zainteresowania tubylców był samochód Buick, oglądany przez większość po raz pierwszy w życiu.

Następnym etapem podróży było miasto Kita, dokąd prowadziła niezmiernie uciążliwa droga przez wyschnięte łożyska potoków. Ludność stawała się coraz bardziej dziką. Samochód w tych stronach był zjawiskiem budzącem przestrach, zarówno wśród czarnych mieszkańców, jak i wśród oślich zaprzęgów, które rozbiegały się na jego widok, jakkolwiek kierowca zwalniał specjalnie przy mijaniu.

Wszystkie te okoliczności wpłynęły na tak znaczne zmniejszenie tempa podróży, że dojechanie do Bamako w ciągu dnia stało się wręcz niemożliwem.

Niezapomniane wrażenia pozostawiła na podróżnych jazda w nocy przez okolice pełne dzikich zwierząt. Co chwila w świetle reflektorów błyskały kolorowem światłem ślepia różnych drapieżników wychodzących na nocne łowy. Przed oczami podróżnych rozgrywały się krwawe sceny polowania na antylopy i inną pomniejszą zwierzynę. Szakale, których spotykano po drodze najwięcej, odznaczają się niezmierną szybkością i wytrwałością biegu. Przez dłuższy czas Buick ścigał się z parą szakali i, chociaż jechał z szybkością 50 klm. na godzinę, nie mógł ich dogonić. Ryzyko takiej jazdy po bezdrożach było wielkie, lecz pasja sportowa podróżnych przezwyciężyła w tym wypadku głos rozsądku, jak to najczęściej zresztą bywa.

Po całonocnej jeździe przybyli do Bamako, które jest wielkim ośrodkiem handlowym Zachodniego Sudanu. Leżąc nad rzeką Niger, posiada ułatwioną komunikację naturalną, co znakomicie wpłynęło na rozwój stosunków handlowych. Miasto to liczy około 50.000 mieszkańców.

W największe zdumienie wprawił członków wyprawy stan dróg w centrum Sudanu. Jakkolwiek utrzymane przy pomocy bardzo prymitywnych narzędzi, posiadają one doskonałą nawierzchnię, po obu stronach są okopane rowami, zaopatrzone w drogowskazy i znaki ostrzegawcze.

Nic więc dziwnego, że po takich doskonałych szosach w ciągu dwóch dni dotarli do Ouagoudougou, spędzając noc w Bougoumi i w Boromo.

Z Ouagoudougou mieli jeszcze 800 klm. drogi do Timbuktu. Jednak po konferencji z przedstawicielami rządu francuskiego uznali, że wyprawa ta jest zbyt ryzykowna z różnych względów. Wypadałoby im przejeżdżać przez okolice zamieszkane przez wyjątkowo dzikie plemiona. Dróg w tej części kraju niema prawie żadnych, a jeżeli są, to tak piaszczyste, że o przejeździe samochodem prawie nie można marzyć, jak również o tem, aby móc się zaopatrzyć po drodze w benzynę.

Wszystkie te względy skłoniły członków wyprawy do zmiany trasy. Zamiast jechać w głąb kraju, pojechali do Accra, miasta, leżącego na południu, na wybrzeżu oceanu.

W drodze do Accra przejeżdżali przez strefę tropikalną, podróżując jedynie nocą. Po 9 dniach podróży, podczas których przebyli 3.000 klm. znaleźli się w mieście portowem Accra, skąd dalej wyruszyli już okrętem, z żalem żegnając swego Buicka, na którym dotarli w głąb Czarnego Lądu bez najmniejszego nawet wypadku.

CZASY OCHRONNE.

(Przypomnienie zmian w listopadzie).

O zmianach, które zaszły z **dniem 1 listopada** podaliśmy już w dwóch poprzednich numerach „Łowca Polskiego".

Dn. 16 listopada otwarcie polowań **na zające** (po ukończeniu dodatkowych zakazów) w województwach: lwowskiem, stanisławowskiem i warszawskiem, oraz (na szaraki i bielaki) w białostockiem, nowogródzkiem i wileńskiem.

Tegoż **dn. 16 listopada** w województwie **poleskiem** otwarcie polowań na lisy, kuny i norki.

Dn. 19 listopada: ostatni dzień polowań **na kuropatwy** w województwie warszawskiem, a zatem:

od dn. 20 listopada w województwie **warszawskiem** nie wolno polować na kuropatwy do dnia 5-go września 1930 roku.

Dn. 30 listopada: ostatni dzień polowania **na kuropatwy** w całem Państwie (o ile nie zabroniono wcześniej w dodatkowem rozporządzeniu województwa).

Tegoż **dn. 30 listopada** w województwie **poznańskiem:** ostatni termin ochrony **zajęcy,** czyli, że wolno tam polować na zające od dn. 1 grudnia.

Tegoż **dn. 30 listopada:** ostatni dzień polowania na **borsuki** w całem Państwie.

Grodzieńskie Tow. Myśliwskie w sprawie terminów ochronnych pisze:

Wogóle jesteśmy zdania, iż sposób podawania do wiadomości ogółu zmian w terminach ochronnych, wydawanych przez województwa w ciągu roku, jest niedostateczny i nieprowadzący do celu. Sądzimy, iż Wydział Wykonawczy zechce zająć się tą sprawą i opracować jakie projekty. Starostwa posiadają ewidencję wszystkich wydanych kart łowieckich i mogłyby, w razie ukazania się w „Dzienniku Wojewódzkim" jakich zmian w terminach ochronnych, zażądać zwrotu kart łowieckich w celu odnotowania tam zaszłych zmian.

Zresztą może Wydział Wykonawczy obmyśli jaki inny sposób i projekt swój poda władzom, ponieważ na Kresach przy tych ogromnych obszarach i odległościach pomiędzy posterunkami a gminami, zwykły okólnik starosty przesłany do tychże i schowany do teki z papierami wchodzącymi, nie może w jednej

chwili dojść do wiadomości ogółu myśliwych niezrzeszonych i wogóle stojących na nizkim poziomie kulturalnym i etycznym.

W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, iż starostwo rozesłało okólnik województwa do wszystkich gmin i posterunków z poleceniem opublikowania; jednak wielu myśliwych w powiecie, z powodu odległości do gmin i wogóle z racji, że nie mają bliższego kontaktu z gminami, ze zdziwieniem dowiadują się od nas o zmianie terminu.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

Przygody łowieckie Ejsmonda.

Ukazała się w druku nakładem księgarni św. Wojciecha wspaniale wydana książka **Juljana Ejsmonda** p. t. „Moje przygody łowieckie" bogato ilustrowana przez Kamila Mackiewicza.

Na treść książki składają się następujące opowiadania:

Wiosna.

Pod pieśnią głuszca.
I. Wiosna białowieska.
II. W puszczy Rudnickiej.
III. W kwietniu — przed „majem".
IV. Na uroczysku Hubar.
V. Na głuszcach — w łodzi podwodnej.
Toki cietrzewie.
W krainie komarów.
Na ciągu słonek.
W usypiającym lesie.
Na wiosenne kaczory.
I. Srebrne i złote.
II. Na rozlewach Prypeci.
III. Holcza.
IV. Na Bobryku.
V. Bostyńce.
Kozły ofiarne:
Słowiki, konwalje i... kozły.

Lato.

Na kaczki.
I. Na leśnych błotach.
II. Hrycowski stan.
III. Na Śląsku Cieszyńskim.
IV. W Ułężu i Podlodowie.
Na kury.
Całuj psa w nos...
Pardwy i cietrzewie.
Na mszarach Wilejszczyzny.

Jesień.

Na rykowisku jeleni.
I. W puszczy Karpackiej.
II. Na nizinach — z ambony.
Zloty kacze.
I. Pińskie sady.
II. Na stawie Borsukowieckim — ze strzelbą i aparatem filmowym.
Na dzikie gęsi.
Cud Horynia.
Kopanie borsuków.
I. Podziemne łowy.
II. Z łopatą i aparatem filmowym — na borsuki.
Z puhaczem.
Na skrzydlate drapieżniki.

Zima.

Na dziki.
I. W sercu Polesia.
II. W puszczy Wiszniewskiej.
III. W puszczy Rożańskiej.
IV. Zima białowieska.
Nosił wilk razy kilka.
I. Nosił wilk...
II. Ponieśli i wilka.
III. Wywołuj wilka z lasu.
Bażanty.
W cieszyńskiej kniei.
Na lisy i szaraki.
I. Siedzi sobie zając pod miedzą.
II. Chodzi lis koło drogi.
III — IV. Polną i leśną ławą.
V. Był tu kot!
W królestwie rysi.
W puszczy Lubańskiej.

W DNIU ŚW. HUBERTA

red. Juljan Ejsmond wygłosi wieczorem przez radjo pogadankę p. t. „Kwadrans w puszczy poleskiej".

— **Święty Hubert w Lublinie.** — Dn. 3 listopada r. b. dowództwo okręgu korpusu Nr. 2 w Lublinie urządza wielki obchód św. Huberta. W programie przewidziany jest bieg myśliwski z kawalkadą jeźdźców, korso pojazdów i samochodów, śniadanie myśliwskie, konkurs hippiczny z nagrodami oraz konkurs strzelecki dla pań. Na zakończenie obchodu odbędzie się w salonach D. O. K. (pałac Radziwiłłowski) bal reprezentacyjny. W obchodzie wezmą udział delegacje oficerskie oddziałów D. O. K. Nr. 2, nadto przedstawiciele świata dyplomatycznego i liczni goście z całego kraju. Uczestnictwo w obchodzie zapewnia 50 - procentową zniżkę kolejową w drodze powrotnej. Zabawa ta, organizowana co roku na mniejszą skalę, w roku bieżącym stanowić będzie clou sezonu w Lublinie i Lubelskiem. To też spodziewany jest liczny zjazd. Udział w imprezach sportowych obchodu zgłaszać należy w D. O. K. Nr. 2 w Lublinie u rtm. dypl. Moszyńskiego (telefon: okręgowa Nr. 6).

— **Strzelanie w dn. św. Huberta.** — Klubowe zawody strzeleckie odbędą się w dzień św. Huberta, patrona myśliwych, na strzelnicy Bractwa Strzeleckiego w Grudziądzu, przy ul. Chełmińskiej od g. 12 — 16.30.

Program zawodów: 1) strzelanie myśliwskie do rzutków (3 nagrody i 2 żetony oraz dyplomy).

Broń dowolna: pojedynka, dubeltówka, dryling lub automat, o kalibrze większym, niż 12. Amunicja fabryczna krajowa, bezdymna, normalnej długości, śrut o średnicy conajmniej 2.75 mm. Odległość 15 m. Postawa stojąca, bez przykładu, seryj 20 po 1 rzutku, czas ograniczony lotem rzutka, ocena wedle ilości trafionych rzutków. Nie liczą się rzutki wyrzucone przed zapowiedzią „gotów", uszkodzone lub po kilka naraz, oraz w razie niewypału, o ile nie oddano drugiego strzału. Nieoddanie żadnego strzału do rzutka należycie rzuconego uważa się za chybienie. W razie równej ilości trafień rozstrzyga rozstrzeliwanie

;edną serją dodatkową. Strzelanie można powtarzać 3 razy; liczy się wynik najlepszy.

2) Strzelanie z broni małokalibrowej (2 nagrody i 3 żetony oraz dyplomy). Broń i amunicja dowolna kal. 22, odległość 50 m., tarcza 10 pierśc. o średnicy 50 cm. Pole czarne 20 cm. Serja jedna 20 strzałów i 3 próbne, czas najwyżej 20 minut, postawa stojąca z wolnej ręki. Ocena wedle ilości punktów, przy równych wynikach rozstrzyga rozstrzeliwanie jednym strzałem.

Panie mogą brać udział we wszystkich rodzajach strzelań. Wstęp na strzelnicę bezpłatny; wprowadzanie rodzin i gości dopuszczalne. Opłata (wpisowe) za strzelanie do rzutków zł. 5.00. Za strzelanie małokalibrowe zł. 1.50. Naboje do nabycia na strzelnicy, gdzie można również wypożyczyć dubeltówkę wzgl. sztucer. Wszelkie zatargi oraz nieporozumienia (także w kwestjach nieobjętych niniejszym regulaminem) rozstrzyga Komisja Zawodów bezapelacyjnie.

Za Wydział Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Grudziądzu:

Krupski, prezes.

Mańkowski, sekretarz.

Koło Miłośników Łowiectwa w Warszawie.

Miedziana 4-a (tel. 130-76).

Grono kilkunastu zamiłowanych myśliwych, pragnących racjonalnie uprawiać łowiectwo, w jesieni 1923 r. postanowiło zrzeszyć się i zawiązać Koło Miłośników Łowiectwa. Zajęto się wydzierżawieniem pierwszych terenów łowieckich, oraz opracowaniem statutu Koła i regulaminu wewnętrznego, i w polowie 1924 roku złożono statut do zalegalizowania. W dniu 19 stycznia 1925 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych statut Koła zalegalizowało i w marcu tegoż roku zwołano ogólne zebranie, na którem wybrano zarząd, łowczego i gospodarza.

Z chwilą rozpoczęcia działalności Koło posiadało już dość duże tereny łowieckie na zające, kuropatwy i kaczki, jednakże stan zwierzyny na tych terenach był niezadawalający. Trzeba było na części dzierżawionych terenów wprowadzić paroletnią ochronę przez zupełne zamknięcie tych terenów dla polowań i troskliwy dozór.



Józef Skrzypek
Prezes Koła M. Ł.



Stanisław Pronaszko
Viceprezees Koła M. Ł.



Henryk Alfred Tietz
Sekretarz Koła M. Ł.

W dążeniu do rozszerzenia swej działalności przez uzyskanie terenów z różnorodną, grubszą zwierzyną, Koło uzyskało w kwietniu 1925 roku dzierżawę Puszczy Baksztańskiej o przestrzeni 20.000 ha.

W tymże 1925 roku Koło Miłośników Łowiectwa zostało członkiem Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, oraz zobowiązało swych członków do prenumerowania „Łowca Polskiego".

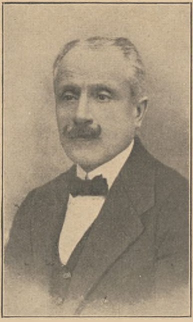
Koło Miłośników Łowiectwa liczy 45 członków, którzy opłacają składkę po 400 zł. rocznie. Koło posiada obecnie tereny w powiatach: Siedleckim 6.575 ha, Mińsko-Mazowieckim 2.400 ha, Skierniewickim i Łowickim 4.750 ha, Wileńskim 7.100 ha, oraz na rzece Jasiołdzie 5.000 ha, razem 25.825 ha, to jest na każdego członka wypada zgórą 575 ha terenu.

Koło Miłośników Łowiectwa ma na swych terenach różnorodność zwierzyny, gdyż na dzierżawionych terenach są pierwszorzędne tokowiska głuszcowe, lęgowe gniazda wilcze i dzicze. Strażnikom Koła udaje się 4 — 5 razy w ciągu zimy olaczać wilki sznurami, których Koło posiada 6.500 metrów bież.

Stan zajęczy i kuropatwi, pomimo srogiej ostatniej zimy, jest zadawalający, dzięki intensywnemu podkarmianiu zwierzyny przez gospodarza Koła, p. Henryka Ejsmonda.

W budżecie na rok 1929/30 zamkniętym sumą 19.200 złotych, przeznaczono na dzierżawę terenów 11.700 złotych, na utrzymanie i umundorowanie 12 strażników łowieckich 4.500 zł., na karmę dla zwierzyny 1.800 zł., na nagrody za zwalczanie klusownictwa 700 zł. i na składkę do Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich 225 zł. Koło jest członkiem Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra.

W 1928 roku Koło miało na rozkładzie 272 zające, 6 bielaków, 352 kuropatw, 6 głuszców, 4 słonki, 2 lisy, 2 dziki, 4 wilki i 3 kozły. Wyniki mogłyby być znacznie lepsze, gdyby nie ograniczanie przez za-



Józef Płodowski
Gospodarz Koła M. Ł.



Henryk Ejsmond
Gospodarz Koła M. Ł.



Bronisław Szybalski
Skarbnik Koła M. Ł.



Dr. Małachowski Mieczysław
Łowczy Koła M. Ł.



Generał bryg. Gustaw Macewicz
Członek Zarządu Koła M. Ł.



Dr. Leon Jastrzębski
Członek Zarządu Koła M. Ł.

rząd odstrzałów, ze względu na dążenie Koła do większego rozmnożenia zwierzyny.

Koło Miłośników Łowiectwa ma w swem gronie honorowych członków, pp. Juljana Ejsmonda i Włodzimierza Korsaka.

Obecny zarząd Koła stanowią pp.: prezes Józef Skrzypek, vice-prezes Stanisław Pronaszko, sekretarz Henryk Tietz, skarbnik Bronisław Szybalski, łowczy dr. Mieczysław Małachowski, gospodarze Henryk Ejsmond, Józef Płodowski i Bronisław Majewski, oraz członkowie zarządu dr. Leon Jastrzębski, generał Gustaw Macewicz, zastępcy adw. Wacław Pęski, inż. Józef Raciborski, dr. Kazimierz Górski. Komisję rewizyjną stanowią pp.: inż. Aloizy Dąmbski, Roman Sobiesiak i Henryk Karsch.

Koło Miłośników Łowiectwa współpracuje z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. przez swych przedstawicieli pp.: Józefa Skrzypka, który jest członkiem zarządu Centr. Związku, i Henryka Tietza, jako członka Komitetu Wykonawczego Centr. Zw. Na ostatniem zebraniu zarządu Koła postanowiono zapisać Koło w poczet członków Instytutu Łowiectwa.

Prace i rozwój Kółka Łowieckiego „Tur"

Dnia 2.5. 1923 roku z inicjatywy ś. p. Walerjana Jodkowskiego powstało w Warszawie Kółko łowieckie „Tur".

Założycielami Kółka byli między innymi pp. Lucjan Koziołek (pierwszy prezes), ś. p. W. Jodkowski (wice-prezes), Stanisław Urbański, Jan Czaykowski i Piotr Paciorek.

Na początek Kółko liczyło zaledwie 15-tu członków, przyczem chlubą Kółka był nieodżałowanej pamięci v.-prezes Walerjan Jodkowski, którego nieubłagana śmierć zabrała w roku 1928, pokrywając Kółko w żałobie na długie lata. Cześć Jego pamięci!

W roku 1926 następuje rozłam Kółka. Władze Kółka skupiają jednak siły i pozostają w dalszym ciągu na stanowisku, natomiast reszta tworzy nowe Kółko p. n. „Daniel". Z pozostałych członków w Kółku „Tur" zasługują na wyróżnienie pp. Aleks. i Stan. Urbaniak, Feliks Mazur (obecny prezes) Jan Czaykowski, ś. p. W. Jodkowski, Mieczysław Dardziński, Wiljam Zizman, Karol Bartosiak i Jop, dzięki którym Kółko utrzymuje dawniejszy swój poziom, wzrastając stale, gdyż z pozostałych po rozłamie 11 członków, dochodzi w wyjątkowo krótkim czasie do liczby 31 członków, rekrutujących się przeważnie ze sfer handlowych i przemysłowych.



Prezes Feliks Mazur



Viceprezes Józef Ruszkiewicz



Sekretarz Piotr Paciorek



Skarbnik Karol Bartosiak



Mieczysław Dardziński
Łowczy gospodarz

Po rozłamie Kółko stale przoduje i zdobywa coraz to nowe tereny, tak, że w chwili obecnej Kółko posiada 28.000 mórg, dążąc jednak w dalszym ciągu do powiększenia terenów; oprócz tego poszczególni członkowie posiadają osobne tereny.

W kierunku podnoszenia zwierzostanu, Kółko bardzo wiele czyni. Dla przykładu podajemy kilka wyjątków z uchwał zarządu; a mianowicie: 1) Dokarmianie kuropatw w czasie mrozów; 2) polowanie raz do roku na terenie; 3) wypłacenie 20 zł. za każdego schwytanego kłusownika; 4) utrzymanie na terenach dzierżawionych przez Kółko, gajowych; 5) na terenach Kółka członkom wolno upolować tylko 15 kur i 3 zające w ciągu roku.

Poniżej podajemy rozkład z 1928 r.: zajęcy 602, kuropatw 668, różnych (drapieżników) 362.

Wzrost swój Kółko bezsprzecznie zawdzięcza władzom Kółka, których podobizny podajemy tutaj.

Na zakończenie nadmieniamy, że dnia 31.5. 1925 r. w wystawie psów rasowych Kółko „Tur" brało udział, wystawiając kilka wyżłów, przyczem otrzymały złoty medal za psy, które stanowią własność Kółka. Obecnie Kółko posiada 13 własnych psów rasowych.

Staropolskie: Szczęść Boże! składamy, owocnej pracy członkom Kółka łowieckiego „Tur".



Aleksander Urbański



Przed polowaniem.



Po powrocie z polowania w Serokomli z. Siedleckiej.



Polowanie w Kamieniu Koszyrskim.



Odpoczynek na polowaniu.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia z nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: **Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.**

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

× **Skórki i futra.** — Na ostatnich aukcjach zagranicznych ceny futer utrzymywały się na dawnym poziomie, ujawniając mocną tendencję. Przewidziana jest zwyżka, ale dopiero za parę tygodni. Popyt na lisy, tchórze i borsuki wzrasta. Poszukiwane są wydry. Kuny mają nieznaczną podaż. Łasice i wiewiórki — prawie bez obrotu. Zanotowano w Niemczech ceny następujące: skóra sarnia letnia — 3.00 do 3.10 m. za sztukę, jesienna — 2.00; dzikiego królika letniego — 0.20; jesiennego — 0.30; tchórza — 3.00; tchórza — 8.00 do 10.00, kuny — 20.00 do 25.00. Za ½ kilo skóry jeleniej, świeżej — 0.40, daniela — 0.60, dzika — 0.05.

× **Dziczyzna.** — Na rynku berlińskim zanotowano w drugiej połowie października następujące ceny: sarnina I gatunku — 1.45 do 1.53 m. za ½ kilo; II gat. — 1.10 do 1.25. Jelenia I g. — 0.60 do 0.67, młodego — 0.70 do 0.75. Daniela grubszego — 0.70 do 0.75, średniego — 0.75 do 0.80. Dzika kaczka I gat. — 2.00 do 2.20 za sztukę; kuropatwa młoda, krajowa I gat.— 2.30 do 2.50, II gat. — 1.50 do 1.60, stara I g. — 1.40 do 1.50. Bażanty - koguty, młode, I g. — 3.25 do 3.60, II g. — 2.00 do 2.25, stare — 2.75 do 3.00; kury I g. 2.10 do 2.40, II g. — 1.50 do 1.75. Dzikie króliki, duże — 2.00 do 2.25, małe — 1.00 do 1.25.

Herb jego gęś pod pachą i ręka w cudzej kieszeni.
Łatwiej widzieć kobietę we łzach, niż gęś w trzewikach.
Kształtny w opasaniu, by gęsie jajo w taśmie.
Kurki szukał, gąskę stracił.

Z CHRUŚCIECHOWA
(pow. radomski)



Majątek Chruściechów — widok dworu



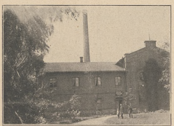
Polowanie na stawach w majątku Chruściechów

W roku 1895 majątek Chruściechowo przeszedł drogą kupna od ś. p. Gustawa Kijewskiego na własność p. Arkuszewskiego, ówczesnego wł. maj. Ryki, który w tej chwili jest połączony z Chruściechowem.

P. Arkuszewski jest prezesem na pow. radomski z ramienia Zw. Ziemian i vice-prezesem Rady Nadz. Zw. Ziem.

Maj. utrzymany jest w bardzo wysokiej kulturze; ma gorzelnię, rybołówstwo na przestrzeni 68 mórg, nasiennictwo. Przestrzeń 257 ha lasu, przyległa do maj., pozwala utrzymać na dość wysokim poziomie kulturę łowiecką.

Znajduje się bowiem w przybliżeniu 100 sarn; zajęcy brak; inna zwierzyna bardzo często ukazuje się w lasach.



Majątek Chruściechów. — Gorzelnia.

Trofea uwidocznione na fotografji, pochodzą wyłącznie z polowań w Chruściechowie.

Ogólny obszar majątku 1447 mórg.



Trofea chruściechowskie.

Kto się chce mieć dobrze na dzień, niech sobie gęś zarznie; kto na tydzień — niech wieprza zakole; kto na miesiąc — niech wołu zabije; kto na cały rok — niech żonę pojmie; a kto do śmierci — niech księdzem zostanie.

Lepszy dziś kęs, niż jutro gęś.

Głupi, jak gęś.

Dobra gęś, dobre i prosię.
Trzy gęsi i dwie niewiasty uczyniły hałas w mieście.
Gęsi wszędzie boso chodzą.
Gęś wyskubią, rwąc po piórku.
Gęś żeby nie szła do wody, a chłop do szkody, nieznane na świecie.
Głodna gąska wody, kiedy po niej pływa.
I biedna gęś syka.

Na św. Macieja gęsi niosą jaja.
Marcinowa gąska, zimowy prorok.
Na dzień św. Marcina, lepsza gęś, niżeli zwierzyna.
Na św. Marcina, gdy się woda ścina i u gęsi pierś biała, to będzie zima stała.

Jeżeli gęsi ślizgają się przed św. Marcinem po lodzie, po św. Marcinie topić się mogą w wodzie.
Za Pilicą gęsi kwicą, a świnie gęgają.
Po piórku całą gęś wyskubiesz.

Idzie naprzód, jak gąsior.
Krzyczy, by gąsior na wiosnę.
Gęga, jak gęś niejaka.
Bodaj cię gęś kopła zadnią nogą.

Skoro się gąsię z jaj wydłubie, zieloną trawę zarazem dłubie.
Syta gęś o dwie mile do wody trafi.
Siedm lat, jak gęś jadł, jeszcze mu gęga.

Baj baju, siedzi gęś na jaju.
Gdy w świętą Barbarę gęś chodzi po lodzie, to Boże Narodzenie będzie po wodzie.
Wybladł, jako gęś na wiosnę.
Nie jednako Pan Bóg daje: jednemu gęś, drugiemu jaje.
Chodzi, jako gęś, oskubana na wiosnę.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P."**:

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gurtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Sztuka wymyślania Juljana Ejsmonda — 4,80 zł.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Juljana Ejsmonda: „Moje przygody łowieckie" — 14,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

„Wspomnienia z życia łowieckiego" — Kazimierza hr. Wodzickiego — zł. 7 (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25 proc. rabatu).

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.

Dobra flinta nie na jednego ptaka.
Jakby z flinty wystrzelił.
Kto nie jest jenerałem, może flintę dźwigać.
Czekaj lisie, pójdę po flintę!
Szykowny, jak żyd do flinty.
Pierwsza torba, niż flinta.
Żywi, jak zła flinta.
Chodzi, jak gawron.
Czeka, jak młody gawron, gębę rozziewiwszy, rychło li mu co w nią wetkają.
Głupi, jak gawron.
Głupszy nad gawrona, kto róże chce zbierać z ostu.
Patrzy, jak gawron.
Las leszczyna, wróbel zwierzyna, gawrony dobytek, maślanka napitek, grunt, kamienie i piaski — ma szlachcic podlaski.
Siedzi, jak gawron.
Stoi, jak gawron.
Widziała wrona u gawrona, dalejże i ona.
Kto chce wygrać gąsiora, musi zażyć kaczora.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15